JAK BABA Z BABOM

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU 2023

JAK BABA Z BABOM

JAK BABA Z BABOM

JEDNOAKTÓWKI PO ŚLĄSKU

WYDAWCY:

IMAGO PUBLIC RELATIONS

KATOWICE Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

PATRONAT MEDIALNY:

GAZETA wyborcza

JAK BABA Z BABOM
Jednoaktówki po śląsku

Redakcja:
Waldemar Szymczyk

Konsultacja języka śląskiego:
Marcin Melon

Projekt graficzny:
Mateusz Maleńki

Realizacja wydawnicza:
Stapis

Skład:
Magraf sp.j., Bydgoszcz

Wszelkie prawa zastrzeżone © Copyright by Imago Public Relations
oraz Katowice Miasto Ogrodów – Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

Katowice 2023

ISBN 978-83-953626-5-1

SPIS TREŚCI

AKTÓWKI JĘZYKA ŚLĄSKIEGO 6
Prof. Zbigniew Kadłubek

ECHA WOJNY 7
Rafał Czechowski

PODSUMOWANIE 12. EDYCJI KONKURSU 8
Waldemar Szymczyk

JAK BABA Z BABOM... 9
Bożena Donnerstag

KOMU JE POTRZEBA MOTYWACYJI? 19
Kornel Sadowski

KELLERMANN 32
Irek Widera

SZACHT III 47
Mateusz Czyba

EINE KLEINE DORA ABO ÔSTATNI FAJER 71
Monika Kassner

GRUBA FERDYNAND 80
Roman Kocur

FACHMAN 95
Krzysztof Kokot

ANNA I ZEFLIK 110
Aleksander Lubina

SALEM 122
Gerard Mandrela

MACHINA CZASU 131
Marcin Woźniak

AKTÓWKI JĘZYKA ŚLĄSKIEGO

Prof. Zbigniew Kadłubek, juror konkursu „Jednoaktówki po śląsku"

Veccchiu 'nnamuratu , di tutti è trizziatu.[1]
Przysłowie w języku sycylijskim

Proszę pozwolić, że zacznę od przydługiego, lecz pouczającego fragmentu pochodzącego z dialogu pt. „Minos" Pseudo-Platona. Od pierwocin zacznę dramatu i cytatem, dotyczącym początku dialogu scenicznego, greckiego dramatu i ateńskiej poezji tragicznej: „Tragedia jest tutaj od prawieków, nie bierze początku – jak się przyjmuje – od Tespisa ani od Frynichosa, lecz jeżeli chcesz badać, przekonasz się, że to jest bardzo dawny wynalazek tego miasta. Tragedia jest najbardziej miłym ludowi i najmocniej przemawiającym do przekonania rodzajem poezji"[2].

Śląskie jednoaktówki są aktami śląskiego języka i jednocześnie dowodami śląskiej ontologii; dowodami śląskich emocji (tych wypłakanych, tych czekających na łzy, radości, euforii, relacji śląskości ze światem we wszystkich przemianach – światem dawnym i dzisiejszym). Te nasze jednoaktówki są nadaktywnością dialogu – wychodzą daleko ku rozmaitym egzystencjom i szeptom galaktyk. Bo my, Ślązacy, po śląsku nie mamy z kim porozmawiać; nie mamy z kim wymienić po śląsku swych poglądów dotyczących ekologii; nie mamy z kim po śląsku pofilozofować i skomentować kondycję ludzkości; nie mamy możliwości pożartować z samych siebie i ze swej śląskości w języku śląskim. Ślązacy zawsze mieli problem z wyrażaniem siebie – byli oniemieli, gdy patrzyli na historię, i niemi, gdy historia drwiła z nich. Ale nie historia tylko drwi ze Ślązaków – współczesność nimi obywatelsko pomiata (pomiata pomiotami ukrytej opcji) i za podmiot uznać ich ani nie chce, ani nie planuje. Bo się współczesności afirmowanie śląskości i języka śląskiego ekonomicznie, politycznie, religijnie, nie opłaca? – Chyba tak.

Dlatego jednoaktówki po śląsku, dzieła w języku nielegalnym, nasze jednoaktówki, chociaż słowo „jednoaktówka" brzmi nader skromnie, są niezwykłym przedsięwzięciem wyrażenia woli mocy śląskiej mowy; każda jednoaktówka to ważny akt wyrażenia tożsamości śląskiej oraz bezbrzeżnej miłości do tego, co nas otacza. Ks. Józef Tischner, który na dialogu i dramacie znał się jak nikt w Polsce, powiada, że stosunek człowieka do sceny to intencyjna obiektywizacja[3]. Jednoaktówka śląska obiektywizuje – chociaż pracuje w skrajnym subiektywizmie. Jednoaktówka śląska to niewiarygodnie potężna intencja obiektywnego pokazania innym, czym śląskość włada, gdzie się kończy i zaczyna, że jest wieczna, że nie ma początku ni końca.

Wracam teraz do tego fragmentu, którym rozpocząłem ten tekst, do pseudoplatońskiego dialogu pt. „Minos". To właśnie Sokrates mówi, że śląska jednoaktówka jest jak gdyby sprzed początku istnienia Górnego Śląska. Jest tutaj od prawieków. Jednoaktówka jest miła ludziom. Jednoaktówka jest przemawiającym najmocniej do przekonania rodzajem poezji. Jednoaktówka – jak każda rozmowa, każdy dialog jest sprzed Aten (tak przekonuje Sokrates) i sprzed Górnego Śląska (o tym przekonują nas autorki i autorzy tworzący od lat jednoaktówki).

Błagam, skoro nikt nas nie słucha, zaufajmy Sokratesowi, kery nōm przaje i gŏdo: dyć piszcie te ślōnskie jednoaktōwki. To ni ma yno tyjater, to je wasze życie. Żŏdyn ni mo prawa z wos sie śmioć (wy gŏdocie, jak u nos w Atynach „lachać"?).

[1] „Z podstarzałego kochanka wszyscy, się wyśmiewają".
[2] Pseudo-Platon: Zimorodek i inne dialogi. Przełożył, wstępem, komentarzem i komentarzami opatrzył L. Regner. Warszawa 1985, s. 46.
[3] J. Tischner: O człowieku. Wybór pism. Wybrał i opracował A. Bobko. Wrocław 2003, s. 259.

ECHA WOJNY

Rafał Czechowski, założyciel Imago Public Relations, współorganizatora konkursu „Jednoaktówki po śląsku"

Jednoaktówki po śląsku, w ciągu dotychczasowych dwunastu edycji konkursu, wojny dotykały po wielokroć, właściwie co roku. Nawet po 75 latach od zakończenia II wojny światowej, rodzinne dramaty i traumy, bardziej codzienne historie czy nawet anegdoty z okresu zmagań z totalitaryzmem, zamknięte w jednym akcie skondensowanej opowieści, stanowią formę utrwalenia, a czasem zapewne i odreagowania trudnych chwil, w których jakość relacji między ludźmi zostaje weryfikowana koniecznością podejmowania decyzji wobec gwałtownej zmiany, zagrożenia istnienia czy potrzeby poświęcenia. To są jednoaktówki o tych, którzy stanęli na wysokości zadania, a także o tych, których zadanie przerosło.

W równoległej do naszej, ukraińskiej rzeczywistości, niemal na naszych oczach te schematy się powtarzają. Wiemy to, choć ich nie obserwujemy. Możemy sobie wyobrażać z ciężkim sercem i nie dowierzać, że to jest możliwe. Możemy się także przeciwko złu buntować, bo choć – na szczęście – nie jest to bezpośrednie doświadczenie znakomitej większości z nas, wiemy, na jakie przeżycia narażeni są dotknięci wojną ludzie. Wiemy to dzięki świadectwom, z których część przyjęła postać jednoaktówek po śląsku.

Z tej perspektywy wolelibyśmy, aby one już nie mogły powstawać w przyszłości. Żeby ich Autorzy zajmowali się raczej codziennym życiem ludzi, zjawiskami społecznymi, kondycją i dylematami współczesnego człowieka, nawet pustką tiktoków, byle bez obecności wątków przemocy. Widać dzisiaj, że to jednak nie jest możliwe. Echa wojny w Ukrainie i nasze doświadczenia z uchodźcami stamtąd, z uchodźcami w ogóle, zapewne niejednokrotnie przyjmą postać jednoaktówki po śląsku. Te historie nie będą już jednak odległym echem dawnej wojny i być może trzymacie Państwo w ręku ostatnią antologię dramatów w jednym akcie napisanych po śląsku, której lektura nie niesie ze sobą cienia najbardziej podstawowego z lęków…

Niesie natomiast – jak co roku – historie rozmaite: od drobnych nieporozumień do dramatycznych wydarzeń II wojny światowej, od zabawnie opisanego coming-outu do komentarza do wydarzeń na granicy z Białorusią, od komedii kryminalnej do opowieści o stracie męża podczas wypadku w kopalni. Historie zabawne, wzruszające, refleksyjne, czasem poruszające – ludzkie po prostu. Bogactwo tematyki i stylów wypływa wprost z różnorodności Śląska i jego mieszkańców. Jest – jak co roku – silną jakością tych skondensowanych dramatów – opowieści powstających w wyobraźni Autorów i opowiedzianych Ich wrażliwością. Oraz językiem śląskim!

Opowieści te łączy także geneza, którą powtarzać warto. Ująłem ją w tomie pierwszym tak oto: „Kiedy ktoś ma dar czy talent idące w parze z entuzjazmem i tym swoistym »chceniem«, które na Śląsku objawia się zapałem do pracy bez jakiegoś szczególnego oglądania się na nagrodę – jest to warte dostrzeżenia. Jeśli dodatkowo w podejmowanym wysiłku potrafi odnaleźć powody do radości i mieć zeń rodzaj satysfakcji potocznie (ale jakże trafnie) nazywany frajdą – jest to warte uznania. Jeśli wreszcie ten dar, pracę i radość oddaje – zgodnie z Polaków narodowym charakterem – na wezwanie, powszechny apel ku wspólnemu dobru – jest to warte podziwu. A jeśli – jak to jest w przypadku autorów jednoaktówek po śląsku (…) – w rezultatach tej pracy i frajdy jest jeszcze fantazja, kreatywność, umiejętność snucia opowieści i budowania napięcia, sprawność posługiwania się słowem i myślenia obrazem – jest to warte uwiecznienia i wydania książki takiej jak ta!"

W roku, w którym język śląski jest obecny w kampanii wyborczej, a oficjalne uznanie go stanowi obietnicę i przyszły postulat licznych parlamentarzystów, warto podkreślić, że jednoaktówki nieodmiennie czynią z języka śląskiego środek wyrazu artystycznego i przez to go waloryzują, czyniąc językiem pełnoprawnym nie tylko deklaratywnie czy ambicjonalnie, ale bardzo praktycznie. I oby – w efekcie – także oficjalnie.

PODSUMOWANIE 12. EDYCJI KONKURSU

Waldemar Szymczyk, juror konkursu „Jednoaktówki po śląsku"

To już 12. książka ze zbiorem najlepszych prac nadesłanych na konkurs „Jednoaktówki po śląsku". 12 książek, czyli ogółem 120 dramatów w języku śląskim, które potem pojawiają się na deskach teatrów i są nagrywane jako słuchowiska radiowe. Czy któreś z prac wyróżnionych w zeszłym roku mają szansę odnieść sukces?

Pierwsze miejsce zajęła Bożena Donnerstag za „Jak baba z babom". Choć jednoaktówka ma formę komedii, porusza ważny wątek – coming outu jednej z bohaterek sztuki. Ta problematyka po raz pierwszy pojawiła się w pracy konkursowej.

Drugie miejsce zajął debiutant Kornel Sadowski z dramatem „Komu je potrzeba motywacyji?". To również komedia, jej silną stroną jest użycie języka śląskiego w formie wykładu naukowego.

Trzecie miejsce zajął Irek Widera i jego sztuka „Kellerman", którą autor napisał „dlo upamiyncynio żydowskij gminy we Mikołowie".

Jury konkursu w składzie: prof. Zbigniew Kadłubek, dyrektor Biblioteki Śląskiej; Waldemar Szymczyk, dyrektor wydawniczy Imago Public Relations; Ingmar Villqist, reżyser i dramaturg postanowiło przyznać także wyróżnienia następującym autorom: Mateusz Czyba „Szacht III", Monika Kassner „Eine kleine Dora abo ôstatni fajer", Roman Kocur „Gruba Ferdynand", Krzysztof Kokot „Fachman", Aleksander Lubina „Anna i Zeflik", Gerard Mandrela „Salem", Marcin Woźniak „Machina czasu".

JAK BABA Z BABOM...

Bożena Donnerstag

GRAJŌM:

ZUZA – baba kole 50-tki, w typie sexbomby
ULA – baba kole 50-tki, w typie bomby (bez sex)
COCO – może mieć 40, abo 70 – nikt tego niy wiy
PAULEK – chop kole 50, ślubny ôd Uli, w typie Jorga Clooneya

BINA I:

Ula i Paulek siedzōm w cugu, naprzeciwko siebie. Paulek wyglōndo bez ôkno. Ula zaglōndo do taśki.

ULA:

Kaj jo schowała te szkloki… Przeca jak mi cukier śleci to sam zyńda jak nic!

PAULEK:

Nic ci niy śleci… Tyś sie ubzdurała że mosz cukier i terozki mosz ôbsesjo jakowoś…

ULA:

Ale tyn dochtōr…

PAULEK:

Ja, jo wiym co ôn pedzioł, że mosz wysoki cukier, ale tyś mu nic niy pedziała, żeś przed badaniym wrōmbała krepla. I kapuczino.

ULA:

To bōł jedyn mały krepelek…

PAULEK:

Jaaa… uhmmm. I niy bōł słodki, pra?

ULA:

A bo ty sie ino nabijosz, Paulek, tela lot po weselu, a durś ci gupoty we łebie…

PAULEK:

Beztoż mi tak przajesz!

ULA:

A idź mi, mōm te szkloki! Badej lepi bez ôkno, kaj my to sōm.

PAULEK:

Przeca my jeszcze z Katowic dobrze niy wyjechali… Kaj tam Kołobrzeg!

ULA:

Że tyż jo sie dała namōwić na tyn sanatoryj tak daleko… Dycki my jeździyli do Szczyrku i tyż było dobrze!

PAULEK:

No ale mieli my srebrne gody? Mieli! Dostali my gyszynki? Dostali! Terozki bydymy sie flygować, szpacyrować, jo byda łazić na lody i gofry ze szlagzanom…

ULA:

Czamu ino ty?

PAULEK:

Przeca ty mosz cukier!!!

ULA:

No, wiysz ty co! Gofra mi zowiścisz! I loda? Co to jo maszketōw żodnych niy moga jeść?

PAULEK:

No a co z tym cukrym?

ULA:

To na zicher boło skiż tego krepla. I kapuczino…

PAULEK:

Ja, my sie moja Ulo rozumiymy… tela lot po ślubie… Dej ino dziōbka!

ULA:

A idź, waryjocie! Wejrzyj lepij kaj my som!

PAULEK:

Przeca maszynista bado na droga, dowej tego słodkigo dziōbka.

ULA:

Moga ci dać ino szkloka – tyż je słodki.

Ula wsadzo szkloka do gymby, a Paulek kuko bez ôkno. Cug jedzie.

BINA II:

Ula i Paulek stojom wele recepcji, czekajōm na klucze do izby w sanatoryju. Podłazi do nich jakoś baba (Coco), fest wymalowano, w złotych szatach.

COCO:

Witōm, witōm nowych pensjonariuszy Sanatoryja „Muszelka". Słyszałach bez cufal, żeście sōm z Katowic, jo miyszkōm w Konigshutte, no, na Chorzowie, ale terozki żech jest wiyncyj tukej, bo żech jest fest schorowano… Te dochtory godajōm: tako moodo frelka, a tako schorowano… Nic niy zrobia, słabe gyny… Toż siedza tukej wiyncyj niż w doma. No i kożdy nowy musi przeze mnie przyjść… to znaczy mnie poznać!

Ula patrzy na Paulka wystraszono.

PAULEK *(do Coco)*:

Nōm jest miło wos poznać, ale terozki chcymy sie dychnōnć, bo tyn cug fest niywartko jechoł i muszymy sie trocha legnōnć.

ULA:

Ino te klucze trza dostać, a nikogo sam niy widać…

COCO:

Zarozki ta dziouszka z recepcje przijdzie! A jak już bydziecie fertig to pytejcie o Coco, tak na mnie tukej godajom… Wiycie – żech je moderno jak ta Coco Szanel, a w doma żech je Gizela, ale tego żodnymu niy prowcie.

ULA:

Jo żech jest Ula, a to je Paulek, mōj chop ôd 25 lot!

COCO:

Rozumia, że jest niy do ruszynio, byda ô tym pamiyntać.

ULA *(groźnie)*:

No!!!!

PAULEK:

O ja… niy do ruszynio! Żech je twardy choby wongiel i zahartowany jak stal. Mie nic niy złomie i niy ruszy. Ino moja ślubno!

COCO:

Niy takich tukej widziała… Ale mocie jeszcze trocha czasu, obejrzycie sie sanatoryjne życie. Grocie w karty? Tańcujecie?

ULA:

Tańcujymy, niy gromy… czytomy buchy, szpacyrujymy…

COCO:

Ci ôd buchōw nojgorsi… żodnego pożytku niy ma… ale przyjdzie wom to po piyrwszych tańcach…

PAULEK:

Co wy tyż prawicie pani Coco… Jo poleku zaczynōm żałować, żech niy pojechoł do Szczyrku na wywczasy… Zoboczymy, my sie z Ulōm domy rada i na tańcach i z czytaniym. O, widza, że ta frela ôd kluczy już idzie… Do widzynio!

BINA III

Paulek i Ula siedzōm przy stoliku, na nim flaszka wina, szolki z kapuczino i jakieś kyksy. Słychać jak grajōm jakoweś muzykanty na żywo i fest fałszujom.

PAULEK:

Cosik im to śpiywanie niy wyłazi…

ULA:

Jo to strzymia… Nojgorsze jest to, że do nos dryfuje ta cało Coco ôbwieszono jablonexem, a z niōm jeszcze jakoś sexbomba na wysokich kromflekach. Zarozki z nami siednōm i po ptokach.

PAULEK:

Niy mom breli, ale chobych ta sexbomba skōndś znoł…

Do stolika podłażōm Coco i Zuza (sexbomba na kromflekach)

COCO:

No witōm, witom, widza żeście pociepli te wasze szpacyry i buchy i zleźliście sam na tańce! A jo mom dlo wos mały iberaszung – to jest Zuza, kiero tyż przyjechała z Katowic!

ZUZA:

No ja, przeca Ślōnzokōw to bele kaj idzie znolyżć… Ale, ale… Przeca my sie znomy!!! Ula! Paulek! To wyście som?

ULA:

No toć, że my… ale jo niy wiym czy my sie znomy…

PAULEK:

Zuza! Zuza z mat-fizu z ogōlniaka! No tego to żech sie niy spodziywoł! Ale wyglondosz!!! Jak jako modelka! *(zaczynajōm sie ściskać)*

ULA *(pogrzebowym głosym)*:

Aaaa, no ja.. TA Zuza… Ta Zuza, już cie poznowom. Zuza na widok kieryj połowa synkōw we szkole miała herc klekoty, a drugo maślane ôczy… Ty tyż, Paulek, bo jo to pamiyntōm jak dzisioj!

PAULEK:

No, przestoń, przeca to boło downo aże niyprowda. Z Tobom żech sie ôżynioł. Pra? Siadej, Zuza, ôsprawiej co tam u Ciebie! Pani tyż, Coco, zicnijcie sie kole nos.

COCO:

No widzicie, terozki mocie spotkanie klasowe!

ULA:

Zuza niy boła z moji klasy… *(widać, że Ula jest fest zło)* Jo tu z chopym przyjechała, a niy na spotkanie klasowe…

COCO:

No przeca zowżdy fajniście sie je spotkać z kimś znajomym ze szkoły… Wiycie co, to jo ida, a wy sie ôsprowiejcie. Dzisioj przijechało pora nowych pynsjonariuszy, musza sie nimi ôciupinka zajōnć, bo łażom boroczki i niy wiedzōm co robić…

Coco odchodzi od stolika. A przy stoliku zapado niyzrynczno cisza.

PAULEK:

Toż Zuzka, co tam u ciebie? Znikłaś po szkole, poszłaś kajsik sztudirować? Jakoweś rachunki, boś boła dobro z maty?

ZUZA:

Ja… gynał, ekonomia, mosz recht i pamiyntosz, że mie ku tymu ciōngło… A wy co? Downo po ślubie?

PAULEK:

No pizło nōm tydzień tymu 25 rokōw, i to jest naszo rajza poślubno.

ZUZA:

Jak poślubno to cosik niyskorzyj *(Paulek i Zuza śmiejōm sie, Ula siedzi, nic niy godo, widać, że nojlepij to by poszła do izby)*

PAULEK:

Skorzyj, niyskorzyj – nojważniejsze, co nōm sie udało, bo durś coś w doma, w robocie, niy ma leko jak sie mo familijo i trza durś w kalyndorz kukać. A to do dochtora, a tukej dziecka kajsik odwiyźć, a to do marketu skoczyć i tak nōm leci. Ale terozki mom cołkie dwa tydnie do moji Ulki! *(przytulo Ula i dowo kusika w lico. Ona sie wyrywo)*

ULA:

No, Paulek, przestoń! Patrzōm sie na nos!

PAULEK:

No, Zuza, godej – czy jo niy mogą moji ślubnyj żonie dać kusika przy ludziach?

ZUZA:

Możesz, Paulek. A jo sie już pōda, bo widza żech je tukej persona nōn grata. Jutro sie zoboczymy na śniodaniu, to możno Ula bydzie w lepszym humorze…

(Zuza wstowo i wyłazi. Ula i Paulek nic niy godajōm i pijōm wino)

BINA IV

Ula i Paulek siedzōm przy stole i śniodajōm. Widać, że Ula jest durś niy w zołzie. Podłazi Zuza.

ZUZA:

No, witom wos! Moga sie z wami siednōnć? Zjym i zarozki pōda sie flygować do SPA. Idziesz, Ula, ze mnom?

ULA:

Jo niy wiym …

PAULEK:

No toż idź, przeca Zuza cie niy zeżre! Jo mom terozki rano masaż na te moje stare kości, a ty sie idź! Zrob sie co tam chcesz. Maseczki, pazury, fryzury. Bele bydziesz zadowolono, dziōbeczku!

ZUZA:

No Ula, niy dej sie prosić, idymy zarozki jak zjymy. Bydziesz zadowolono, zoboczysz.

ULA:

No dobra, jak mnie tak namawiocie. Ida z tobōm, Zuza.

(Do stoła podłazi Coco ino w badymantlu. Przysiado na jednym pōłrzitku na stołku, nalywo sie tyju do szolki…)

COCO:

No jak tam, moi roztomili, pobawiyliście sie wczora wieczōr? Połosprowialiście ô starych czasach? Wiycie, jo miała takie branie, szłapy mnie bolōm bo mie te wszystkie syniory ôbtańcowali, dzisioj ino zjym i ida nazod w bety.

ULA *(pogrzebowym głosym)*:

Jaaa… Wybawiołach sie za wszystkie czasy… No richtich to boła tako zabawa, że byda jōm wspominać aż po grōb! *(zaś robi zło mina i patrzy na Paulka)*

PAULEK:

Ula, Ula, jo cie prosza, już niy bydź tako zło, kończ jeść i zbiyrej sie do tego SPA!

COCO:

Do SPA!!! Jo bardzo polecōm Romana… ōn tak masuje, że jo jest jak bogini jak ôd niego wyłaża. Zresztōm to cheba widać!

PAULEK:

Żodnego Romana! Do Romana to jo sie pōjda na masaż! Dziynkuja za śniodanie, wstowomy i idymy!

(Wszyscy wstowajōm i wyłażom)

BINA V

Ula i Zuza z badytuchami na łebach siedzōm we fotelach z ôgōrkami na ôczach i zielonym krymym na gymbach.

ZUZA:

I jak, Ula, już ci te złości cołkiem wylazły? SPA to jest to, czego trza kożdyj babie, a już na zicher jak mo tela lot co my!

ULA:

Mosz recht, już mi lepij, ale wiysz…

ZUZA:

Ja wiym! Durś żeś je na mnie zło, żech je tukej, bo ci moga tego twojego Paulka łyknōnć jak szolka espresso. Ty niy widzisz jak ôn ci fest przaje? Jest tela lot z tobōm i zakochany choby gupi!

ULA:

Możno mosz recht… Ale jo pamiyntōm, jak ôn za tobōm lotoł w licyjum… Łazioł za tobom, zaglondoł kaj żeś jest. A jo za nim zaglōndała, bo ôn mi sie ôd piyrwszyj klasy tak podoboł, aże mnie bolało we brzuchu. Ino jo niy boła nigdy takom sexbombōm jak ty, Zuza…

ZUZA:

Przeca jo wiym, jak to boło. Ale Ula, ôn mioł wtedy 18 lot, a wiysz jakie sōm synki w tym wieku. Stykło, żech miała w jednym miejscu wiyncyj, w drugim

myni, kudły do pasa, ślypia niybieskie. Krōtkie kiecki i nogi po pachy jak to prawiom… Jak bych chciała to kożdy by bōł mōj. A terozki przypomnij sie – czy jo jakigoś z tych synkōw sie wybrała? No? Twojego Paulka na zicher niy…

ULA:

To boło downo… ale jak terozki tak prawisz, to sie niy przypominom… Tyś z nimi zowżdy stoła, fanzoliła gupoty, śmioła sie… Ale… No ja – z żodnym żeś niy łazioła! My nawet godały w naszyj klasie, że ty wszystkim w łebach zawrocosz, a mosz szaca w technikum abo i już jakigoś starszego studynta…

ZUZA:

No, terozki prawisz rozumnie i korzystosz ze szarych komōrek.

ULA:

Ej, ty mnie niy ôbrażej!

Ula i Zuza śmiejōm sie, aże im te ôgōrki ślatujōm z ôczōw

ZUZA:

Ula, terozki ci coś musza pedzieć. Jo niy miała żodnego synka ani w naszyj szkole, ani w żodnyj innyj. Niy miałach, bo jo wola baby…

(Ula z wrażynio zjodo swoje ôgōrki)

BINA VI

Ula z Paulkiem siedzom razym na tarasie, Ula udowo że czyto, a Paulek widzi, że ôna udowo, ale siedzi cicho

PAULEK:

No, godej.

ULA:

Ale co ty ôde mnie chcesz?

PAULEK:

Godej co sie stało w tym SPA, bo jak ino przyszłaś nazod, toś jest jakoś dziwno.

ULA:

A co ty padosz! Przeca żech je normalno!

PAULEK:

Dycki widza, znom cie tela lot, że widza… Godej, bołaś na masażu u Romana? Jak ôn ci cosik zrobioł, to jo tam leca i mu te szłapy z rzici powyrywom!!!

ULA:

Niy, no przestoń!

PAULEK:

No toż godej, bo przeca jo tak dłużyj niy wysiedza! Powadziołaś sie z Zuzom? Co ty do niyj mosz? Przeca ôna nawet na mnie niy wejrzała, ani we szkole ani tukej, czamu ty jōm tak niy lubisz?!

ULA:

Niy powadziołach. Naprowdy w tym SPA boło piyknie, pogodały my jak baba z babom. I wiysz co, jo już niy jest ô nia zazdrosno!

PAULEK:

Aż mi berga śleciała z serca! My sam jeszcze bydymy te pora dni, Zuza tyż i bołoby fest słabe, jak byście niy godały ze sobom.

ULA:

Możno sie przejdymy na szpacyr, badej jak dzisioj klara świyci, pōjdymy na lody.

PAULEK:

Na te niskokaloryczne i bezcukrowe, pra?

ULA:

Ja ,tak jak prawisz!

BINA VII

Ula i Zuza siedzōm w kafyju, na stole wielgie lody ze szlagzanom

ULA:

Wiysz, niy bydź zło, co jo tak gibko uciykła z tego SPA, ale jo była cheba w szoku, żeś ty zrobioła tyn koming aut, jak to sie godo terozki…

ZUZA:

No, przeca wiym, ale musiałach ci to pedzieć, bo żech widziała, że mosz durś nos spuszczony i żeś je zazdrosno ô tego swojigo Paulka… a to niypotrzebnie! Niy chciałach ci popsuć tyj waszyj rajzy poślubnyj…

ULA:

Mosz recht, mie by to durś żarło, jo myślała, że jak Paulek cie ujrzoł, to ôn mnie ciepnie i poleci za tobom…

ZUZA:

Wiym, wiym… ôn ci fest przaje i to widać. Ale musza ci cosik jeszcze pedzieć. Już wiysz, co mi sie żodyn synek w liceum niy podoboł. To byli moje kamraty i tela. A wiysz fto mi sie podoboł?

ULA:

No godej!

ZUZA:

Przeca ty! Jak jo cie ujrzała na piyrszym apelu w tyj biołyj bluzce z falbankom, granatowyj kiecce i kucyku to mnie choby pierōn strzeloł! Nawet niy pierōn ino amor. I przez te wszystkie lata bołach tam, kaj ty! Nawet na tych kōłkach, co wiersze godali i jeszcze na plastycznym, a przeca jo ani do poemōw, ani do malowanio niy je stworzono…

ULA:

Ale że jo?

ZUZA:

Ty, ty, Ul – ty bołaś mojom licealnōm miłościom, ale boło, minyło. Wiym, żech cie zaskoczoła, ale prowda jest nojważniejszo.

ULA:

I co terozki?

ZUZA:

Nic. Pojadymy do dom, zaproszymy sie do znajomych na fejsie i szlus. Ty niy bydziesz ze mnom, bo przajesz Paulkowi. A jo sie dōm rada, jak zowżdy. Ciesza sie, że już wiysz.

ULA:

Jo tyż… jest żech w szoku i musza jeszcze ô tym pomyśleć… A teroz idymy już… Paulek czeko.

KOMU JE POTRZEBA MOTYWACYJI?

Kornel Sadowski

Jednoaktōwka ślōnsko we 3 wykładach a 3 przikładach

POSTACI:

RECHTOR
AMIK
POLO
TOTI

WYKŁAD 1

Wielgo sala na Uniwersytecie Ślōnskim, w ciul ludzi siedzi przi biurkach, ftoś ciepie taszōm z ksiōnżkami, ftoś jy sznitka, a ftoś coś gryglo we hefcie. Naroz do sali włazi rechtor. Szpetny, puklaty a do tego w brylach.

RECHTOR:

Witom wos syrdecznie, roztomili. Mom richtich rod, że tyla osōb je zainteresowanych badaniami naszyj Uczylni – przipominom: WYŻSZYJ. *(pauza – filuje na synka wcirajoncego sznitka – tyn chowo sznitka do taszy)* No! Dzisioj, roztomili, chciołech poruszyć problym, kerym je człowiek. Ekhm. Człowiek przelozł (podług Darwina) richtig dugo droga ôd małego chroboka na gynsimpympku aż do miejsca kaj my som teroz. Od ludzi, kerzy wyglondali barzij choby afy, przez – jadymy po kolei – Australopitek forma przedludzka.

A tak po prowdzie, to do się jeszcze oboczyć Australopitków, szczególnie jak sie ftoś na banchowie je już uniszkorzony. I mo ino minuta. I tyn jego cug już stoi. I on sie tak paczy – na ta raja przed nim a na ta tablica za nim.

A na raja. A na tablica. I pyto bo już nie strzimiy: „Chopie, weź mie puść, bo mi cug zarozki ruszy".

A tyn Australopitek się obroco – pomału (ôn mo czas). Paczy sie – a ślypia mo choby rapidołza. Szpetne. I godo (choby po polsku): „Mnię też się spięszy, proszę pana".

A potym tyn gorol kupuje trzi bilety na cug, kery jedzie za dwa tydnie! I jak sie tu niy nerwować? Dobra, trocha niy tyn temat, pra? Jako była motywacyjo człowieka obez te wszyske lata? Skiż czego człowiek loz do przodka? Skiż żarcia? Ożarcia? Abo geltu?
Choby milijona złotych… przejdemy do przikładu…

Ściany sali ślatujom na zol. Narozki som my we Banku, na ul. Bankowej. Na wejście dziwo sie trzech synków

PRZIKŁAD 1

wejście do banku na ul. Bankowej, słychać głosy i ôtwieranie drzwi. Narozki wpadajom trzyj złodzieje. Kożden w mycy naciongniyntyj na same ślypia.

AMIK:
Legej na zol! Co zech ci pedzioł?! Na zol!

TOTI:
Hende hoch. Ci godom jak po polsku niy rozumisz!

POLO:
Dziyń dobry! *(cisza)*

AMIK:
Czekej… Coś ty pedzioł?

POLO:
Jerona, co jo pedzioł… Bo jo nie moga tak jak je tyla ryku. Jo tak niy moga. *(wyłazi)*

AMIK:
(do siebie) Do pierona. *(do ludzi)* Przepraszomy ino na chwila. *(wyłażom)*

AMIK:
Chcesz coś pedzieć?

POLO:
Bo jo… bo mie… sie to niy podobo. Jo chcioł być kulturalny!

TOTI:
A jo wiedzioł, że nic z tego niy bydzie. Jak już nawet Polo zaczōn fandzolić fleki.

POLO:

Jo niy fandzola fleków!

TOTI:

Ja, ino kulturalny chcioł być. Wiysz co?

POLO:

No co?

TOTI:

Furosz jak murorz, a z kapsi Ci…

POLO:

Co?! *(chce się na niego ciepnōnć. Zatrzimuje go Amik)*

AMIK:

Zawryjcie sie oba. Spokōj. Włażemy tam jeszcze roz. Ino teroz żodyn niy komyntuje co inkszy pedzioł, ja? Na trzi.

POLO *(cołki znerwowany. Choby mioł hercklетoty)*:

Ja. To je proste. Na trzi. Roz, dwa, trzi. Na trzi. Tak trzi. Trzi to je… Znaczy sie, że niy na jedyn, niy na dwa…

TOTI:

Jo odlicza, ja? Do pierona kandego! Jeden. Dwa. Trzi *(Włażom. Drom pyski. Żodnego niy do się zrozumieć)*

POLO:

SZTOOP! *(juzaś cisza)* Teroz to żodyn wos nie rozumi. I wto bydzie wiedzioł, że mo do taszy dać geld, co? Ja jo pedzioł „dziyń dobry", to kożden zrozumioł.

TOTI:

Jo sie zestresowołech – dlo przikładu godom.

(cisza – nie wiedzom, czy wyjść czy zostać. Amik się obraco i celuje w kogoś gywerom)

AMIK:

Milion +! Ino zaroz!

TOTI I POLO:

Te! Chopie, to było dobre!

AMIK:

Dobre, pra?

TOTI:

Te, a jak niy bydōm tyla mieli?

POLO:

Jerona…

AMIK:

To co jo mom zrobić jak już żech pedzioł?

POLO:

E… to może jeszcze roz? Ino tak, wiycie… Szykownie. Choby we ôjcu krzestnym!

TOTI:

Ino to bydzie trzeci roz. Obejrzyj jacy som znerwowani. I jo sie niy dziwia. Som bych sie zdrzaźnił jakby mnie wtoś rozkradoł trzi razy bez połednie.

(Wyłażom. Juzaś ino głosy)

POLO:

To wyglondo choby jakoś ciynko komedyjo! A to mo być napad!

TOTI:

Ja, ja… Ino że jo tego niy czuja!

POLO:

Jo to na tyn przikłod tyż jakoś… niy.

TOTI:

Dobra – ôdlicza. ROZ! DWA! I… *(syrena policyjno. Po ciymoku słyszymy ino jak policyjo zbiero Totiego, Amika a Polo.)*

(Widać ino na gymba Amika. Choby na przesłuchaniu)

AMIK:

Amadeus K., godajōm mi Amik. Złodziej. Mało szkodliwoś społeczno. Roz byłech karany. Ale byłech niewinny! Bo to z tym było tak, że w chaupie było ciymno. To wchodza. Bo po szychcie żech je. I chciołech ino trocha posznupać we szranku, co by szlafmyca znojść. I naroz jak wpadli. I ryczōm do mie choby do gizda jakigoś. I wtynczos sie okazało, że to niy je moja chaupa.

(Światło gaśnie – zapolo się nazod i widac ino Polo)

POLO:

Ginter P., mianujōm mie Polo. Fto? Kradzioż? Jo nie je żodyn kradziorz?! Jo je nie-ka-ra-ny. Mało szkodliwoś społeczno. Lubia czytać. Caitungi, ksiōnżki

– trocha mnij. Bo fto teroz mo czas. Mom hercklekoty i skirz tego niy moga robić ciynżko. Ale mom sam je rzadko. Roz na rok. Może roz na miesiōnc… roz na 3 tydnie… Dobra – co 3 dni. Ale wczorej żech niy mioł.

(Juzaś tak samo – ino teroz widać Totiego)

TOTI:

Detlef T. zwany – dej no pozór – TOTI! Fajnie, pra? Takie richtig gryfne miano. Nawet mojymu fatrowi sie spodobało! Opa jak sie dowiedzioł… *(łomie mu sie godka)* … aż mi sie chce ślimtać… to pedzioł, że choby tyn fussbaler! Jak żech boł szkolorzym, to godali na mie niy Toti. Ino basak. Abo ruby. I bez to żech je taki nerwus.

WYKŁAD 2

sala wykładowo UŚ

RECHTOR:

Co? Jeronie-pieronie, trocha żech odjechoł niy na te glaisy, ja? Temat. Jo se spomna. Ubertemat. To je motywacyjo a demotywacyjo, kere to wydajom sie nojważniejszym piyrwiastkiem spajajōncym wszyske nasze poprzednie stadia bycia człowiekiem. I teroz – co się stało, że momy tyla różnic miyndzy Australopitkiem a nostypnym we noszych heftach a ksiōnżkach Homohabilis? No? Ftoś mo jakiś pomys? Jakoś wizyjo?

(cisza na sali)

No dziouchy? Take z wos zowdy mlihuby i teroz co? Żodno? Kożden jedyn zmierzo do prokreacji (czyli dupczenio) – pedzioł Schopenhauer. Wszisko to je dupczenie – pedzioł Freud. A jednak to niy ino dupczenie prziczyniło się, że my som tam, kaj my som.
Człowiek stale toczy walka miyndzy połowom gowy, kero go motywuje i drugom, kero mu godo coby cołki dzień leżoł na szezlongu. Co nom daje – korespondujonc z Schopenhauerem a Freudem – wola branio sie, walczy tutej z wolōm niy umycia sie z wieczora – i pōjścia spać choby lomp – czyli wygody. Teroz chwila pauzy, po to by oboczyć badania opisane przez dohtora Henniga Beck'a *(z Hessen, ale jego Oma ponoć była z Chebzia)*.

Chop, ale tyż i baba – majōm nojwiynkszy problym z ocenōm czasu. Naszo gowa nie za bardzo wie co to je tyn zeit. I beztoż we 1972 Hamerykon Mischel W. Ebbesen zaproponowoł bajtlom maszkety teroz, albo za godzina dwa razy wiyncyj tych maszketów. Badanie miało na celu uruchomiynie jōndra pōłleżącego. Niby leżōnce, a odpowiedzialne za motywacyjo. Wyniki były take, jak sie Hamerykonom wydowało: wiynkszoś bajtli wdupcyła mynij maszketōw aż im sie uszy czensły. Mimo, że było to gupie, z perspektywy czasu.
Beztoż, kiedy wtoś nom do choby pincioka teroz, to bieremy, nawet jak nom powie, że za godzina bydzie niy pińciok, a dwa, abo nawet i trzi – ô milijonie złotyk ani już niy godōm.

PRZIKŁAD 2

Bohaterzy poschroniani przed czyjomś chaupom na Bażantowyj,
kerom chcom rozkradnyć.
Toti ściongo ze gowy fest naciongnieto fuzekla

TOTI:
Chopy…
POLO:
Ja?
TOTI:
Jo mom taki pofyrtany pomys. Jakby wtoś wom dowoł 1 milijon złotyk…
AMIK:
Co ôn godo? Nikt nie mo tyla geldu!
POLO:
Ja… Chiba, że tyn taki fest yntelygentny ode Apple'a.
TOTI:
Ale ôn ni ma już tyla geldu, bo… *(pauza, Amik ściągo fuzekla ze łba)* ôdszed.
POLO:
Kaj? *(domyślo sie)* A, no ja. Je to prowda.
AMIK:
A tyn drugi?
POLO:
Kery drugi?
AMIK:
Tyn ôd Windowsa.

TOTI:

Gates?

AMIK:

Ja! To ôn je teroz przeca nojbogatszym maherem, ôn mo tyla.

TOTI:

Dobra, to Bill Gates godo do Cia „Mosz tukej, synek, milijon…”

POLO:

Poczekej. Gates niy je już nojbogatszim maherem.

AMIK:

To fto je?

POLO:

Fto? Fto?! Oprah!

TOTI:

Ja? A fto to je ta cało Oprah?

POLO:

Tyś je ipta. Oprah to je tako murzi…!

TOTI:

Niy…

POLO:

Afrohamerykana…

AMIK:

Co ty fandzolisz?! To je niymożliwe, bo murzi…

TOTI:

Niy!…

AMIK:

Recht, afrykony som biedni.

TOTI:

Ty nie możesz sam tak godać.

AMIK:

Jak jo widzioł we filmie, jak byli murzini i ôni byli tacy fest biedni. Żodyn nie boł obleczony. Tako sromot.

POLO:

Ty pamponiu – dyć to nie znoczy, że wszyscy murzi…

TOTI:

No!

POLO:

Afrykony… som biedni!

AMIK:

Som żeś je pampoń, to fto to je ta cało Oprah?

POLO:

Oprah, to ôna prowadzi we telewizyji taki program. Choby „Rozmowy w Toku".

TOTI:

I teroz to richtig fandzolisz! „Rozmowy w Toku" nie prowadziła murzi… Afrykanerka ino ta… no… Drzazga!

AMIK:

Jo godoł, że fandzoli.

POLO:

Niy polske! Ino hamerykańske!

POLO I TOTI:

Aaaa…

TOTI:

To Oprah dowo ci milijon dolarów terozki abo za dwajścia piynć lot sztyry milijony, co wybierosz?

AMIK:

Terozki milijon, abo sztyry, pra…?

POLO:

Jo biera sztery.

AMIK:

Ja, yhy. A za co bydziesz żył obez te dwajściapiynć lot?

POLO:

A no ja… Ale jak już wiem, że dostana te sztyry – to bych se doł rada.

TOTI:

Jak bys se doł rada, jak przeca mosz je dostać za dwajścia piynć lot! Wiesz wiela to je czasu?

AMIK:

Dwajścia piynć lot temu to Polska nie boła we NATO! Tyla to je!

TOTI:

Ja! Dwajścia lot temu prezidentem Rosji boł Jelcyn!

POLO:

Ja, to to je wiela… to może… milijon…

TOTI:

Ino dej se pozōr. Sztyry milijony – to je sztyry razy wincyj, niż milijon.

AMIK:

Ino dwajścia lot czekanio.

POLO:

Jo wiem! Biera ôde tej niej sztyry za dwajścia lot.

TOTI:

I niy mosz za co żyć!

POLO:

I beztoż biera ôd razu kredyt na milijon i mom za co żyć!

TOTI:

Wybierosz sztyry za dwajścia lot. Co by wziōnć sia kredyt?

AMIK:

Jak ty fandzolisz! Już Cia niy moga suchać.

(oblekajom fuzekle na gowy. Chwila sie paczom na chaupa. Polo ściongo fuzekla)

POLO:

Nic w tym nie widza! Nie byda robioł po ciymoku! Choby na grubie.

AMIK:

(*Ściongo)* ô jerona, niy umia we tym chycić luftu.

TOTI *(tyż ściongo)*:

Uff…

POLO:

Te, Toti… a dosz mi ta bioło?

TOTI:

Bioło co? Fuzekla?… Ty chcesz bioło, bestoż, żeś ty je rasista!

POLO:

Niy fandzol, ino dowej! *(Ciepiom sie na sia)*

AMIK:

Sztop! Cicho! Cza ustalić jakiś plan. Nie mogymy se tam wparzyć, choby lojfer.

TOTI:

Ja, no mosz recht. *(cisza, patrzom na Amika)*

AMIK:

Ja. No co? Mom recht, trza wykludzić plan. *(cisza)* I co, jo mom to zrobić?

TOTI:

Niy, no spólnie to trza. Ino jakbyś mōg sztartnōnć, to bydzie prościj…

AMIK:

Jo niy byda niczego wykludzioł – jo chca ino mōj milijon i tyla!

POLO:

Mom! Chiba mom tyn plan! Achtung – wparujemy…

AMIK:

Ja, to je plan, na zicher!

POLO:

Jyszcze roz mi przerwij, to bydziesz lotoł choby wulc po pustym szynku.

AMIK:

To boł ino wic

POLO:

Ale jo niy żartuja! Dzielemy sie na odziały. Jo ida na przodek – do wielgij izby. *(do Totiego)* Ty bier sypialnia. *(do Amika)* A ty haziel.

AMIK:

Poczemu jo haziel?

POLO:

Boś mie zdrzaźnił!

AMIK:

Dyć to boł ino wic!

TOTI:

Zawryć się oba! Żodyn niy idzie do haźla! Wielgo izba, szlafcima, a ty bieresz kuchnie. Domy se znać taszlampami, pra? *(do sia)* Rōb tu z gupielokami.

WYKŁAD 3

Sala wykładowo UŚ

RECHTOR:

Wiymy już po prowdzie, że naszo gowa niy radzi se dobrze z poczuciym czasu. Kożdyn jeden, co by wziōnć sia do roboty, musi mieć motywacyjo – ale o tym było już piyrwyj. Teroz mom rad pedzieć wom sztudenty – co to (podug Niymców) je motywacyjo i we czym możno jyj posznupać. Motywacyjo posznupać można we kozdyj rzeczy, kerom człowiek chce. Na tyn przikłod dobrom motywacyjom bydzie po prowdzie choby wspomniany 1 milijon złotyk. Ino co by go mieć trza roboty i niyrzodko w ciul czasu.

Naszo gowa – jak żech pedzioł – niy do konca wiy co to je tyn czas. I lepij nom bydzie (obez gowy, pra?) dzisioj niy szporować naszego milijona, ino kupić se pod skarbkiem kreple.

A nojlepij ze trzi.

PRZYKŁAD 3

Nasze trzi pamponie wleźli, do chaupy na Bażantowyj. Przełażom po kożdyj jednyj izbie i sznupiom. Toti chnet wyciongo krziżōwka z byfyju.

TOTI:

Te, Polo… pedz mi – pod kranem?

POLO:

Pod czym?

AMIK *(wystrachany)*:

Co tam je?

(oboczył krzizōwka) Pod czym?

POLO:

A na wiela liter?

TOTI:

Pod… Kra… nem. Na sztyry?

POLO:

To ausgus!

TOTI:

Ino liter je za dużo.

AMIK:

Dobra, odłōż ta krziżōwka! Idymy kożdyn we swōj rejon – my niy som teroz we kole…

POLO:

Do pierona! Kole antryju je…

AMIK:

…Fortuny.

POLO:

…w ciul książek

TOTI:

Kole czego?

POLO:

Kole antryju.

TOTI:

Program telewizyjny – Koło… antryju?

AMIK:

Fortuny!

POLO *(podłazi gibko do Amika)*:

Co ty godosz? Kaj mosz ta fortuna?

TOTI:

Kole antryju pasi – ino tukej teroz… nie znom żodnego landu we Africe kery zaczyno się na Y.

AMIK *(dre pyska)*:

Kole fortuny! To je hasło! Koło fortuny – program telewizyjny! Tukej ni mosz ani fortuny, ani landu we Africe, ani ausgusa, ani nawet tego podupconego KOŁA!

POLO:

Koło je – kole antryju.

TOTI:

Jo to już nic niy wiym. Kole antryju, abo kole fortuny!

AMIK *(wpado w hajna)*:

DO-PIE-RO-NA! My tukej przziszli na haby! A niy się wadzić o jakoś KRZIŻOWKA!

(Naroz wtoś zapolił swiatło i zlazuje po schodach. To je chaupa ode Rechtora)

RECHTOR:

Co wy sam tukej… Wy gizdy!

(wyciągo z kapsi gywera) Jo wom dom!

TOTI:

Niy! Panie rechtorze…

AMIK:

Panie rechtorze, ino spokojnie.

POLO:

Panie rechtorze, dejcież pokōj.

RECHTOR:

Jo wom dom! Chaupy biydnych rechtorōw, naukowcōw bydziecie rozkrodać? Wy dioble tyty!

POLO *(ryczy)*:

Panie rechtorze, niy!…

AMIK *(ryczy ino trocha ciszej)*:

Panie rechtorze…

(Wolno podłażom do rechtora ze gywerōm w rynce i Toti szarpie go za rynka)

TOTI:

Panie rechtorze…

(Naroz okazuje sie, że som ôni cołki czos na sali wykładowyj UŚ. Rechtor boł zasnoł przi biōrku, a Toti, Amik i Polo – prōbujom go ôbudzić. Sztudynty już wyleźli ze sali)

AMIK:

Zostow go. Niech śpi.

POLO:

Ja, yhy. I juzaś bydzie jak ôstatnio. Wpierw zasnoł, a potym cołki temat boł na egzaminie.

AMIK:

Pra, ino tukej se mogemy to doczytać – ô tych badaniach, ô tym mózgu, ô tych motywacyjach. Ino czymu durch godoł ô tym milijonie złotyk?

POLO:

To skuli MOTYWACJI. To je ta motywacyjo.

AMIK:

Te, w sumie to milijon je do zrobienia… Majom tyla choby w banku na Bankowej. We tym dupnym. Tukej obok.

TOTI *(na krziżówka)*:

Te, obejrzijcie sie – jakby tukej niy było kole antryju, ino fortuny… to tyn kraj we Africe to je Uganda…

KELLERMANN

Irek Widera

PERSÔNY:

JAAKOV KLARMAN
JAKOB KELLERMANN
MAMA – roz ôd Adele a roz ôd Laury
DZIOUCHA – roz Adela a roz Laura

BINA I:
STYCZYŃ 2022

Dōm ze czyrwōnyj cegłōwki. Izba na piyrszym sztoku. Bez ôkno widać kōnsek zegrōdki a dalij drōga. Laura zico wele okna wsparto ô fynsterbret.

LAURA:
Mamo! Mamo!

MAMA *(kajś ze siyni na dole)*:
Co je louz, Laura?! Sztapel łachōw mōm dzisiej do biglowanio…

LAURA:
Mamo! Bliknij yno wartko bez ôkno!

MAMA:
A po jakimu?! Pomiyniło sie co hań znacznie? Przeca sztrōmy a śniyg hań jednakie kej wczora i dzisiej rano i godzina tymu…

LAURA:
Mamo! Prosza! Ôn zaś sam je!

MAMA:
Fto?!

LAURA:
No tyn sōm co wczora!

MAMA:
Co za tyn? Ô kim ty godosz Laura?!

LAURA:
No! Ô tym chopie!

MAMA:

Ô jakim jużaś chopie?! Laura! Ty niy mosz nic inkszego do roboty yno mitrynżyć cołki dziyń przi ôknie? Ty żeś tyż z tym je podano gynał na starka Adelka, ja! Tela yno, co ôna bōła dziewiyńćdziesiōnt lot staro, a ciebie niy ma ani szesnoście!

LAURA:

Mamo! Niy mitrynża! Czytōm handbuch! Sztudiyruja! A beztōż wele ôkna bo sam mōm nojwiyncyj lichtu!

MAMA:

Tōż sztudiyruj a niy porej sie gupotami!

LAURA:

Roz za kej tyż trza spauzować! W radyjoku godali, co to niy ma za dobrze dlo ôczy dziwać sie durch yno na blisko. Wzrok sie poradzi wtynczos zrobić ale felerny…

MAMA:

Dyć ty już Laura ôd dowiyn downa mosz bryle!

LAURA:

I nowych mocniejszych niy potrzebuja!

MAMA:

A mi sie zdo, co ty żeś sie dzioucha ostatnimi czasy za fest frechowno zrobiła!

LAURA:

Mamo! I po co ta cołko godka? Już byś downo trzi razy bez te ôkno zafilowała na tego chopa!

MAMA:

A dej mi pokōj! Choćby i sam jaki stoł, to co? Mōm zōnś ku nimu i pogōnic? Eli pytać po jakimu sam tak tyrczy? A możno zaprosić rajn, ja? I ty sie ś nim pogodosz?

LAURA:

Styknie yno co wejrzisz! Pierōn wiy co to za jaki… możno rojber jaki eli krodziok? Sztyry dni pofiluje a piōntego wlezie do rajn, kej uzno, co za dnia chałpa prōzno…

MAMA:

A snokwiosz, choby starka Adelka! W tym tyż żeś je na nia podano, ja! Nic yno same krodzioki po świecie lazujōm i plastikowe giskany z placu chachmyncōm!

LAURA:

Mamo! Wczora ôn sam bōł aże dwa razy! For got! Piyrszy roz wele jedynostyj a niyskorzij jakoś ô piontyj po połedniu bo już sie po leku zaczynało ćmić…

MAMA:

I dwa razy tyn sōm, ja? A ty żeś sie to uznała na zicher? Tak stoł i sie filowoł, ja? Gynał na nasz dōm? A możno czekoł na kogo?

LAURA:

Niy dowierzosz mi? Mamo! Możno i jeżech niyrychtig nale ôczy a pamiynć mōm dobre!

MAMA *(wlazuje do sztuby)*:

Laura! Roztomiło moja… Przaja ci! I dowierzōm wszyskimu co godosz, Perełko… *(halo Laura po gowie)*

LAURA:

Jo sie ônymu dobrze przijrzała… taki niy za stary… za mody tyż już niy. Dryblaty nale taki bardzij szpiterlok. Czorny mantel, hut, żodnyj tasze. Dziwoczny taki… Choby srogo glapa…

MAMA:

Och Laura… Fantazjyrujesz! Kaj ôn niby je?

LAURA:

No! Wi za wi! Na trotuarze wele chałpy ôd Loskōw…

MAMA *(wyglōndo ôknym)*:

Filuja, nale przeca sam żodnego niy ma!

LAURA:

Jako niy ma… *(cofie gardina i filuje ôknym)* Rychtig! Niy ma! Stracił sie, nale mōm gyfil, co jużaś sie hned pokoże, jednako kej wczora abo dzi…

Dzwoniyni do dźwiyrzi na dole.

MAMA:

… abo dzisiej…

BINA II:
JANUAR 1945

Tyn sōm dom ze czyrwōnyj cegłōwki. Kuchnia.
Mama skłodo ôgiyń pod blachōm.
Gynał puczy stary cajtōng kej do kuchnie wlazuje Adelka po bosoku.

ADELA:

Mutti, hast du gehört?

MAMA:

Tela razy żech ci, Adelko, padała, niy lazuj po bosoku po zimnyj delōwce! Bydziesz mieć ryma i sznupać bez cołki dwa tydnie!

ADELA:

Słyszałach, choby ftoś bōł we pywnicy…

MAMA:

A fto może być we naszyj pywnicy! For got ōpa Franz! Mioł drzewa naciupać bo sie kōńczy. Idź coś ôblyc na te szłapy!

ADELA:

Ōpa Franz zowdy nasamprzōd rano idzie ôdbywać! A we pywnicy coś pizło!

MAMA:

Niy byda ô tym z tobōm godać podwiel niy pōdziesz sie ôblyc! Styczyń mōmy a niy pōjstrzodek lata!

Adelka podlazuje do ôkna, i dmucho na zamarźniynto szyba. Bez ôkno ledwo widać kōnsek placu, chlywiki a dalij fōrtka i drōga.

ADELA:

Mutti, mutti! Komm zu hier!

MAMA:

Was ist los, Adela…

ADELA:

Mutti, guck mal zum fenster! Wie viel Leute gehen…

Mama dźwigo sie z delōwki i ciynżko stōmpo ku ôknie. Nachylo sie ku Adeli i terozki cuzamym filujōm bez mikry ring wydropany we ôszrōniałym. I wroz choby ftoś puścił film. Widać, jak drogōm kroczy srogo tulma, roz za kej ftoś ferfluchtuje po niymiecku, psy blekocōm a kajś fort szczylanie.

MAMA:

Adela, jezderkusie… cof sie ôd tego ôkna.

ADELA:

Warum?

MAMA *(wiyszo forhang)*:

Cof sie i szlus! A wartko!

ADELA:

Co je louz mutti…

MAMA:

Ich weiss nicht… Niy wiym, Adelko. Jo już nic niy wiym i niy chca wiedzieć… Jo już sie doś napatrzała… Jo już znōm kożde zło a niyszczyńści tego świota. I tak mi sie zdo, co hań, sztrasōm kroczy nojwiynksze zło…

ADELA:

Mutti… Diese Leute, die auf die Strasse gehen? Wer sind?

MAMA:

Piyrszy roz widza… Piyrszy roz widza coś takigo Adelko i niy poradza ci ôdpedzieć… Etwas Schrecklisches passiert… Ja… Fest sie boja

ADELA:

Rusy kommen? Ōpa godoł…

MAMA:

Jeszcze niy Rusy ale już hned… Idź, Adelko, ôblyc sie a jo ida szukać ōpy Franza…

ADELA:

Nale mutti…

MAMA:

Niy szprajcuj sie yno idź, Perełko moja! Idź… A wartko!

BINA III:
JANUAR 1945

Adela już ôblyczōno i ôbuto ślazuje schodami do pywnice. Byrna dowo lichy licht. Gōnek na prawo i lewo. Dalij cima. Adela stowo. Rynkōm gmyro po ścianie, prōbuje napasować drugi szalter.

ADELA:

Hallo… Je tu fto?… Hallo… Ōpa? Sind sie da Ōpa? Sōmeście sam?… Nooo… Kaj żeś to je, kneflu usmolōny… Pryndzyj sam jakigo czardybōna trefia niźli tyn siarōński wichajster… Ech! Mogłach sie wziońć taszynlampa eli kōńszczyczek świyczuszki z wiyrchu… No! Yntlich!

Ôświyco sie drugo byrna. Adela mrugo wartko pora razōw ôczami.
Filuje na prawica do waschkuchnie. Hań dalij cima.
Wroz miarkuje, co zol je lecy kaj mokry. Schylo sie. Na zolu ôdcisniōne zelōwki…
Bez chwila myndykuje eźli wlazować we tyn cimok.
Yntlich robi hań pora krokōw.

ADELA *(szkamro)*:

Ōpaaa… Was ist los? Po jakimu sie schroniocie? Przeca żeście niy ma winowaty… Mutter padali, co to niy sōm Rusy… Te, co ôto kroczōm sztrasōm… Ōpa, sōmeście sam? Przegodejcie coś, ōpa… Widza stajany śniyg z waszych strzewikōw… To jo, deine Enkelin. Adela… Ōpa… Mutter wos tyż szukajōm…

Kroczy ôpaternie dalij już rajn, we tym ćmoku. Stowo. Czeko aże wezrok przibado do ćmawoty. Słucho…

ADELA:

Po jakimu sam je tak cima? Przeca sam zowdy bōła byrna… Przepoliła sie? Ftoś wykryncił? Hallo… Ōpa? Wyście sam sōm, pra? Ōpa…

Ruch za plecami. Adela zwyrto sie wroz. Widzi cudzego chopa. Wylynkane czorne ôczy.

JAKOB:

ciiii… bitte… sie nicht angstlicht… bitte… bitte…

ADELA:

Wer? Wer bist du?

JAKOB:

ciiii… Ich flehe dich an… bitte…

ADELA:

Wer bist du? Räuber? Du bist ein schlechter Mensch?

JAKOB:

Nein… Um Gottes willen nain…

ADELA:

Wer bist du dann? U nos dōma? We pywnicy.

JAKOB:

Ich… Ich bin…

Na wiyrchu jakieś larmo. Festelne klupanie do dźwiyrzy, dalij praśniyńcie choby sie szrank ôbalił a przi tymu przezywanie na fol, ferfluchtowanie.

JAKOB:

Bitte… ciii… Jo yno chca żyć… Du verstehst? Sie sind der Tod… prosza… *(kładzie rynka na ramiyniu Adele)* …prosza…

ADELA:

Schrōń sie… wartko…

JAKOB:

Prosza… Niy wyzdradź mie… Na drugi dziyń sie pōńda weg… zarozki rano… bitte…

Ôtwiyrajōm sie dźwiyrza do pywnice i słyszeć stōmpanie po słodach. Ciynżki flekowane trzewiki.

MAMA:

Adela! Jeżeś sam?! Adela!… Es ist niemand da außer meiner Tochter! Sie sollte Kartoffeln bringen! Adela!

ADELA:

Ja, Mama! Ich gehe!

MAMA:

Officer! Es ist nur meine Tochter! Sie ist zwölf! Adela!

ADELA:

JA! ICH GEHE! *(woło a dalij szkamro)*:

Wie heißt du? Jako sie mianujesz?

JAKOB:

Jakob… Jakob Kellermann…

Adela wylazuje z gōnka i stowo we świetle

ADELA:

Jeżech, Mutti. Guten Morgen, Herr Officer!

BINA IV:
STYCZYŃ 2022

Mama i chop w czornym mantlu stojōm we laubie.

MAMA:

Tōż jako padaliście? Mianujecie sie Klarmann?

JAAKOV:

Ja! Jaakov Klarmann. Mianuja sie Jaakov Klarmann, syn Samuela Klarmanna, ynkel Jakoba Kellermana…

MAMA:

Wyboczcie, nale niy miarkuja cōż spōlnego mocie ze naszōm familijōm?

JAAKOV:

Nooo… Jestech ynklym Jakoba Kellermana… człowieka ze pywnice.

MAMA:

Niy znōm…

JAAKOV:

Możno mie niy rozumieć. Jo niy poradza za dobrze po polsku…

MAMA:

Po polsku możno niy, nale po ślōnsku poradzicie godać blank sprownie.

JAAKOV:

A dziynkuja! Ōpa mie uczyli… Już hań, we Izraelu.

MAMA:

Someście haństōnd? Ze Izraela?

JAAKOV:

Ja… Jestech dziepiyro piyrszy roz we Polsce. Piyrszy roz sam, kaj rodzōny bōł mōj ōpa.

MAMA:

To je unmyjglich. We tym dōmie ôd zowdy miynszko yno nasza familijo. Żodyn Kellerman nikyj sam niy bytowoł…

JAAKOV:

Ja! Mocie recht. Mōj ōpa rodzōny bōł we Mikołowie nale padoł, co sam, we tym dōma rodził sie drugi roz…

BINA V:
JANUAR 1945

Adela ślazuje zaś do pywnice. Tym razōm niy zaświyco światła yno blynduje taszynlampōm.

ADELA *(ledwie szkamro)*:

Jakob?… Jakob… Jeżeś sam jeszcze? Niy lynkej sie… To jo, Adela. Mōm jodło i staro deka… Jakob?

JAKOB *(szkamro ze cimoka)*:

Tukej… jestech tukej… wele grōdzy z kartoflami…

Adela krynci na prawo. Uchylo dźwiyrka zbite z desek. Świyci bardzij na zol. Za grōdzōm na gnotku zico Jakob.

JAKOB:

Jeżeś sama?

ADELA *(kiwie gowōm)*:

Mosz… kraiczek i dwa kartofle… uwarzōne. Niy ma tego za wiela, nale niy chca podbiyrać za fest z kōmory coby sie mutti niy skapli…

JAKOB:

Mutti? I fto jeszcze? Wiela wos sam hauzyruje?

ADELA:

Yno jo, mutti a ōpa Franz. Fatra wziyni do Wehrmachtu i ostoł sie kajś we Rusyji… Ōma Truda zmarli hańdownij…

JAKOB:

A jako je terozki hań? Na wiyrchu?

ADELA:

Zrobił sie wieczōr… terozki już sztrasa prōzno. Zdo sie co je na zicher spokojnie. I żodyn sie ô cia niy dopōmino. Yno tyn esesman zarozki z rana nale niy chciało mu sie ani za fest sznupać po chałpie. Ōpa Franz mu przegodoł… Ōpa bōł przi wojsku na tamtym krigu…

JAKOB:

Niy wyzdradzi mie? Na zicher?

ADELA:

Na zicher… yno schrōń sie dobrze…

JAKOB:

A jak zaś przidōm? Esesmany niy pytajōm yno ôd szlagu szczylajōm…

ADELA:

Ōpa padajōm, co słyszeć rusko artyleryjo… Ruk cug sam bydōm… dajōm retōng…

BINA VI:
STYCZYŃ 2022

Mama i Jaakov zicajom przi tiszu we kuchni.

JAAKOV:

Ôpa umar ôńskigo roku na podzim…

MAMA:

Jednako choby starka Adelka…

JAAKOV:

Bōli jednako starzi… Ôpa mioł dziewiyndziesōnt jedyn…

MAMA:

Starka dziewiyndziesōnt…

JAAKOV:

Starzik wyjechoł samstōnd we czterdziestym szōstym. Po wojnie szukoł jeszcze fatrōw. Pod jedyn czos dziyń w dziyń rajzowoł na Mikołów, wystowoł na banchowie i wyglōndoł… Potym sie doł pokōj. Kapnył sie, co to je ale daremny futer. Hań wtynczos ze cuga niy wysiod żodyn Żyd… Snadnie, we czterdziestym drugim kożdy ś nich mioł fahrkarta yno w jedna strōna… Zu Tode…

MAMA:

Yno wasz starzik sie ôbstoł bez cufal…

JAAKOV:

Beztōż, co fatry dali ônymu ôchrōna. Bez przajanie kerym ônego darzili… Ōpa dziepiyro poranoście rokōw niyskorzij trefił na jakieś papiōry a w ônych stoło, co jego fater zginōł we Auschwitz nale jako ein politischer Gefangener skiż nimieckigo obywatelstwa, kere mioł ôd zowdy. A muter tyż możebnie hań straciła żywobyci nale po ônyj niy stało sie nic.

MAMA:

A jako wasz starzik trefił do Izraela?

JAAKOV:

Do Palestyny. Kej zmiarkował, co ôjcōw już niy ma i nikyj niy bydzie nojprzōd chcioł ôstać sie sam, na Ślōnsku. Nale po piyrsze sam nastała Polska a po drugi trefił kajś w cugu takigo chopa kery sie mianowoł Goldenberg. Uwidzioł, co ōpa mo nōmer na ramiyniu. Zaczōn dopytywać Ōpy ô wiara mojżeszowo, ô to, co jeszcze pamiynto… A ôn pamiyntoł yno pora wortōw po hebrajsku, „Szma Israel", i jakiś fajer ze świyczkami we synagodze we Mikołowie. Goldenberg doł ônymu adresa jakiś instytucyji żydowskij i przikozoł, eźli ōpa bydzie chcioł, to mo zōnś a wszyskigo hań sie dowiy. Trocha zetrwało zatym ōpa sie ôpowożył, nale sam niy mioł lekko. Tyn nōmer na ramiynu ônego wyzdradzoł. Taki naznaczyni choby sztympel we auswajsie. Ôto Żyd! Beztōż Poloki ônego durch szterowali, sztychali, robili na bzdury. Dlo nich to bōł Żyd, Niymiec i Ślōnzok. Wszysko wroz! I wszysko szlecht! Tōż Ōpa wybroł sie do tyj instytucyji. Natrefił na inszkszych, jednakich choby ôn. Modych kerzy ôcaleli. Hań sie wyuczył jidyszkajt. I stoł sie syjōnistōm! Trefił do Francyji a dalij na szif „Exodus" kery mioł dowiyź ônego do Palestyny… Nale tyn szif Ynglyndery zawrōciły do Hamburga. I dziepiyro za drugom razōm sie glikło. Ōpa trefił do szuli Mikweh Israel a dalij do spōlnoty Masout Jicchak. Hań na szlag już zapōmnioł Mikołowie, ô Ślōnsku

MAMA:

A możno niy tak na szlag kej wos wyuczył tak gryfnie godać?

BINA VII:
JANUAR 1945

Adela i Jakob zicajōm po cimoku na gnotkach wele grōdzy kartofli. Jakob wybiyro widełkōm kartofle z gorka.

ADELA:

Wiysz, Jakob, myndykuja, po jakimu ty tak gryfnie poradzisz godać?

JAKOB:

Dyć jo je swojok… Rodzōny we Mikołowie. Żyd nale ślōnski…

ADELA:

Mikołōw? Dyć to blank blisko nos…

JAKOB:

A kaj my tak rychtig sōm?

ADELA:

Cwikliz.

JAKOB:

Cwikliz padosz? A kaj to je?

ADELA:

Kreis Pless… Wele Pszczyny

JAKOB:

Ach sooo…

ADELA:

A twoja familijo? Ôstała we Nikolai?

JAKOB:

Ich weiß nicht… Jo mojim fatrōm ani tak rychtig nikyj niy abszidowoł. Dali mi geld, wrazili do cuga i porajzowołech fōrt, do przocieli familije. A kej przyszoł żech curik do Mikołowa to już żech fatrōw niy zastoł yno zaplōmbowane przez gestapo dźwiyrza. Ftoś mi pedzioł, co wszystkich Żydōw sebrali i powiyźli weg. Kaj? Żodyn niy poradził pedzieć…

ADELA:

I co dalij?

JAKOB:

Dalij? We Ôrzyszu mieszkali Kapice. Proste ludzie. Kapica robił pod jedyn czos u mojigo fatra we bekaryji. Po jakimu pomyślołech sie ô Kapicach, niy poradza spokopić. Geldu niy miołech żodnego. Wiedziołech, co we pywnicy we naszyj chałpie do sie odewrzić takie ôkiynko ôd ausu. Miynszkanie bōło

całki splōndrowane, wszysko rozciepane, rozsute choby bez kwatyr przeszoł powicher. Wzionech bambetle, jedna sztepdeka, pora fotografek ôjcōw, kere sie wolały po delōwce, i jakiś bysztek. Bōłech całki wylynkany… Swinyłech to i drabko bez noc citłech do tych Kapicōw…

ADELA:

Przijyni cie?

JAKOB:

Ja. Przodzij bōli ale fest wylynkani, nale kōńcym usōndzili, co weznōm mie za swe. Miynszkołech u nich dwa roki… Przed cudzymi godali, co jeżech bajtlym ôd kuzyna Kapicowyj spod downyj czeskij granice i ôbstołech sie przi jakimś bōmbardowaniu a ôjce wtynczos zginyli. Cygaństwo, nale fōngowało. Tela yno, co musiołech sie dać ôkrzcić.

ADELA:

Tōż jeżeś krześcijōn?

JAKOB:

Ja! Na papiorze… A papiōr potrzebowołech, coby dać sie zapisać do szule. Kapice same niy mieli geldu nale na zicher dali jakeś marki takimu starymu farorzowi ze Woszczyc i ôn doł mi tyn krzest. Całki glik, co bez te wszyski lata żodyn niy dopytywoł ô nic. Musiołech sie yno fest wachować kej my lazowali ze inkszymi bajtlami potoplać sie nad stowek i niy seblykać. Wyisz po jakimu, pra? Musiołech tyż zacznōć arbajtować. Dziyń w dziyń, jeszcze zatym żech szoł do szule lotołech po wsi i przedowołech cajtōngi.

ADELA:

A ôjce? Dowiadywoł żeś sie, co z ônymi?…

JAKOB:

Nojsōmprzōd bōłech na tela erschrocken… eee… fest wylynkany… Nale dalij chciołech sie zacznōnć dowiadować o familiji, tela yno, co Kapicka mi przikozała, co mōm sie niy wyrychlać bo ludzie we dorfie sōm ôszkliwe i na zicher znajdzie sie jedyn taki, co za geld poleci podać Kapicōw za dekowanie Żyda. Wywiedziołech sie yno tela, co ponoś wszyskich naszych wywiyźli wtynczos do Sosnowca, a kaj dalij, to żodyn niy wiy…

ADELA:

Słyszałach ô tym, co gestapo sznupie za mojżeszowymi i ône potym sie tracōm…

JAKOB:

Ja… już przodzij bōło nōm ciynżko. Musieli my sie przekludzić do inszkego miynszkanio. Z mikołowskigo ringu na taki ôszkliwy siedlung:

Abisynia. Fati stracił arbait a do bekeryji przisłali Treuhendera. Musieli my poprzedować roztomaite artikle coby mieć na żywobyci… A niyskorzij wysłali mie weg i tak sie terozki myndykuja, co ône musieli sie dowiedzeć ô Vorgehen gegen Juden… Dali mi retōng a same… ech…

Na wiyrchu coś pizło ze szwōngiym. Jakob pociep gorczek i schrōnił sie za grodza.

ADELA:

Niy bōj sie… Mutii szpanuje gardiny, możno rōmka spadła… Mōj fater poszoł wojować za Faterland a Firera… we sztyrdziestym drugim. Miesiōnc dalij przizoł brif… Rok zetwało zatym mutti sie spragdała… a mie aże tyrpie… sam… we pōjstrzodku… Mōj tatulek…

JAKOB:

Wiysz, Adel… Byli u Kapicōw… Gestapo… Kapicka sie wtynczos wyłgała i zrobiła sy mie krodzioka kery swinōł geld i citnōł ze dōma. Kapica zdōnżył dać mi znać bez bajtla, takigo Ericha, co mōm sie już u ônych niy pokazować…

ADELA:

I co żeś zrobił dalij?

JAKOB:

Niy mogłech hań ôstać. Ône tak by tak fest mi dopomogli. Erich przinos mi do lasa jedna taszka i tela. Ôd tego czasu wandrusiłech sie bele kaj, spowołech po stodołach, kej ôwdy we lesie. Ôńskigo roku na podzim chycili mie wele Myslowic. Wrazili do cuga i ôdstawili do takigo lagra wele Auschwitz…

ADELA:

Lagra?

JAKOB:

Zur Hölle… Do piekła…

BINA VIII:
STYCZYŃ 2022

Mama, Laura i Jaakov zicajom przi tiszu we kuchni. Na blacie szolki.

JAAKOV:

Ōpa trefił do Birkenau we nowymber sztyrdziestego czwortego. Mioł glik bo trefił do Sonderkommando. Potrzebowali nowych persōn, bo ôto wtynczos pozbijali tych, kerzy szpryngli insurekcyjo na poczōntku ôktōbra. Mioł zbiyrać i sztaplować szwory, bryle, strzewiki i inksze klamory. To mu uratowało żywobyci bo inksi z baraka ôd szlagu trefili do gazu.

MAMA:

Boże, co za czasy… Wela ôn wtynczos mioł lot?

JAAKOV:

Bōł szternoście lot stary…

MAMA:

Bajtel, kerymu zachabili cołki szpas dzieckowy…

JAAKOV:

Ōpa nikyj sie niy żalił… Nale tyż mioł glik… W styczniu sztyrdziestego piōntego ruszyła rusko ôfynsywa tōż ôpa lagrowoł yno miesiōnc, bo dalij Niymce zrychtowali te todesmarsze.

LAURA:

A twój starzik citnōł ze konwoju i schrōnił sie sam…

JAAKOV:

Ja… Gynał. Prawił, co ftoś hań wtynczos pod, drugi zaczōn pomogać, inkszy coś larmowoł, zrychtowoł sie srogi miszōng, esesmany sie slecieli a ôn to wykorzystoł i przeloz bez rozwarto fōrtka a dalij bez ôkynko dostoł sie do pywnice…

LAURA:

Kaj trefiła ônego starka Adelka…

JAAKOV:

Starzik godoł, co retōng dała ônymu tako mikro frelka. Futrowała bez tydziyń po kryjōmu. Flyjgowała ôdmarźniynte giry… A kej wleźli Rusy…

MAMA:

U nos dōma sie ô tym niy godało…

BINA IX:

Januar1945

Pywnica. Wylykany Jakob zico wele grōdzy a na wierchu bez dugszy czos do sie słyszeć jakeś srogie rōmplowanie, larmowanie, praskanie a niyskorzij srogi chopski gos i pora szusōw. Dalij cichoś. Zgrzipiōm dźwiyrza i po słodach do pywnicy ftoś ślazuje ale fest niygramotnie… Jakob stowo i wyglondo ôpaternie za winkel. Widzi Adela wsparto ô ściana. Po bosoku, we rozprutym klajdzie, cołko umazano kwiōm.

JAKOB:

Co je louz? Adela!

ADELA:

Rusy… Mutti… Hań… *(skazuje prawicom na wierch, ôpado na klynczki).*

JAKOB:

Kaj? Co? Co sie hań przitrefiło?

ADELA:

Rusy prziszli… Ōpa tout a mutti… Mutti ôni… i mie tyż chcieli nale wtynczos wloz tyn ôficyr… Pōnbōczku drogi!

To je kōnszt, kery ôstoł zrychtowany podug echt gyszichty Dawida Danielskigo.
I dlo upamiyncynio żydowskij gminy we Mikołowie.

SZACHT III

Mateusz Czyba

OSOBY:

MŁODY: 20 lat, ochroniarz, odblaskowa kamizelka,
GŁOS: z dziury, wiek nieokreślony,
MARYNARKA: oraz dżinsy i teczka.

Scena, a w niej kwadratowa dziura, która robi wrażenie. Obok atrapa stróżówki (fotel, biurko, na nim lampka, mały przenośny telewizor).

Zanurzał się pieśnią w otchłań, / Do dna początku
świata; / Tak nie śpiewają dzieci / Ani ludzie
dorośli. / Śpiewał,
że czas w przyrodzie / Ginie nie mając siły, / Lecz
jest niszczącą potęgą / Dla samotnego człowieka.
Elias Lönnrot, *Kalevala*

1.

Brzęk kluczy, otwieranie kłódki. Wchodzą Młody *i* Marynarka. Marynarka *kładzie teczkę na biurku i zapala lampkę. Wyciąga z niej dokumenty. W tym czasie* Młody *kręci się po scenie, dochodzi do dziury, okrąża ją, zagląda.*

MARYNARKA:
Tylko proszę uważać! To prawie czterdziestometrowe zapadlisko, a może nawet głębsze.

MŁODY:
Godali mi już. Sztyrdziści metrōw… Fto by to pomyśloł. Takie coś… to tak… dupło?

MARYNARKA:
A dupło. Tutaj jest Śląsk. Gdzie nie kopniesz, tam jakaś pokopalniana niespodzianka.

MŁODY:
Tela, to jo wiym. Nale jak już ta gruba zawarli, to mogli to zasuć, abo co inkszego wymyśleć.

MARYNARKA:

Przykryli deklem i tyle. Nie zagłębiajmy się, nomen omen. Na szczęście nikt tam nie wpadł i niech tak pozostanie. I to jest pana rola.

MŁODY:

Jako rola?

MARYNARKA:

Żeby nikt tam nie wpadł.

MŁODY:

Tela, to jo wiym.

MARYNARKA:

No i bardzo dobrze. Niech pan zobaczy. Biureczko jest, telewizorek. Fotelik wygodny. Niech pan wypróbuje. I jak?

MŁODY:

Może być.

MARYNARKA:

I dobrze. Jakieś pytania?

MŁODY:

A je sam kablōwka?

MARYNARKA:

Zobaczę, co da się zrobić.

MŁODY:

A mikrowela?

MARYNARKA:

Nie ma i radzę nie przynosić swojej. Starczy, że jest grzejnik. Nie możemy generować zbyt dużych wydatków. Zawsze może pan zamówić pizzę, mają długo otwarte. Ulotkę chce pan?

MŁODY:

Dej pan. Dziynki.

MARYNARKA:

Lubię z oliwkami. To jak? Podpisik?

MŁODY:

Kaj?

MARYNARKA:

Tutaj… Tutaj… I jeszcze tu… Ok. Aha! I w razie jakby co, to proszę do mnie… *(robi słuchawkę z ręki)* Tu ma pan wizytówkę. Ok? Rano przyjdzie zmiana. Zbyszek albo Zdzisiek.

MŁODY:

Rozumia.

MARYNARKA:

No to witamy na pokładzie.

MŁODY:

Dziynkuja.

MARYNARKA:

I jak tylko kto się zbliży: dzieciaki, dziennikarze, gapie, ktokolwiek. To jest teraz gorący temat, a ludzie chodzą tu z psami, również wieczorem. Od razu won i bez dyskusji.

MŁODY:

No przeca!

MARYNARKA *(podaje rękę)*:

I to rozumiem. Na razie, hej, baj!

MŁODY:

Baj…

Marynarka wychodzi, szum wiatru, Młody robi rundkę po terenie. Pociera dłonie, chucha.

MŁODY:

Ale piździ… Fto sam ze psym łazi? *(siada na fotel)* I kaj tyn grzyjnik? *(rozgląda się)* Ôfuloł mie! Dyć żech sie niy przesłyszoł… *(zagląda pod biurko)* Godoł, że sam je… Cygon pierōński… *(dzwoni jego komórka)* O, to na zicher ôn. Zaroz mu powiym, co i jak. *(odbiera)* Wiy pan co?… A, to ty, kotuś… Niy, bo jo myśloł, że mōj nowy szefu dzwoni… Niy, niy, cołkiym w porzondku, ino niy mom sam grzyjnika, a… Co?… Ja, jo je ôbleczony, dyć we badkach sam niy siedza… Mom podkoszulek… Ja, bluza tyż mom… Ta ciepło, ja… Suchej, niy rōb zy mie bajtla… Co?… Kask?… A na co mie je kask?… Niy, mie sam nic na gowa niy sleci, nojwyżyj jo moga slecieć na gowa, ale w takim przipadku kask by mie niy uratowoł… Ja, byda uważoł… Ja… To ciał… Ja, jo ci tyż przaja… No… Musza kōńczyć, kusiki! *(rozłącza się, wstaje, wychodzi na środek)* Panie! Prosza sie oddalić! Sam niy ma nic do ôglondanio!

2.

Młody wchodzi trzymając w ręku farelkę, ustawia pod biurkiem, włącza do przedłużacza, uruchamia. W farelce coś stuka, więc Młody w nią wali, aż przestaje. Ogrzewa dłonie. Z plecaka wyjmuje czajnik bezprzewodowy,

wodę mineralną, chińską zupkę i miskę. Chce podłączyć czajnik, ale ten ma za krótki kabel, więc ustawia go pod biurkiem obok farelki, wlewa do niego wodę. Znowu słuchać stukanie. Młody nasłuchuje, czy to z farelki. Następnie wychodzi spod biurka, nasłuchuje dalej. W końcu idzie na środek sceny w stronę zapadliska i słucha dalej. Klęka i przykłada ucho do jamy. Nagle odsuwa się i wstaje.

MŁODY:

Jezderkusie, chyba mom coś ze uszami… To niy może być! *(chce znów przyklęknąć i posłuchać, ale się powstrzymuje)* Niy, niy, to mie sie ino zdowo… ale… dyć durch słysza, to je… klupanie… *(przyklęka i nasłuchuje)* Kurde balans!… *(telefonuje)* To jo… Wachtyrz… Jak skond? Wachuja przi tym szachcie, co sie zapod… No i tam cosik klupie w tyj dziurze… Niy, jo nic niy piōł… Ale skōnd!… Tam we tyj dziurze driny klupie durch i sztyjc… Ale jo je trzyźwy jak papiyrz na Watykanie! Musi pan sam przijechać!… Co?… Niy, niy dzwoniłech na policyjo, a co, mom?… No to niy… Co?… Już robia *(wyciąga rękę z telefonem nad zapadliskiem)* I co, słychać?… Nic?… Bo to możno za cicho. To sie trza samymu posuchać. No… Dobra. *(kończy rozmowę, wstaje)* Zaroz przijedzie, zaroz przijedzie… Zrobia mu tyju… *(idzie do biurka)* abo kafyju. *(przestawia rzeczy na biurku)* Niy ma. Tyj musi styknonć. Zaroz… tyju tyż niy ma… *(bierze zupkę)* Niy, lepij niy. *(wraca nad zapadlisko i nasłuchuje)* Klupie, dobrze je, dobrze je… *(telefon dzwoni, odbiera)* Ja? W porzōndku wszystko, a co?… A co jo ci poradza, że ciebie sie nudzi. Mie sie tyż nudzi… Nale dyć wiysz, że za nocki mom wiynkszy geltag… Dobra już, dobra, jutro rano pogodomy, bo za chwila sam mōj szefu przijedzie… Niy, wszystko w porzondku, jutro w doma pogodomy… Ja, jo cie tyż kochom… No, pa. *(wraca do biurka, pauza)* No dyć! Zamōwia pizza. *(szuka ulotkę po kieszeniach, wpada* Marynarka*)*

MARYNARKA:

Mam nadzieję, że mnie pan w chuja nie robi!?

MŁODY:

Ale pan je gibki! Skond, czymu?!

MARYNARKA:

Jak czemu?!

MŁODY:

Spokojnie, niych sie pan posucho.

Marynarka idzie nad krawędź, próbuje nadsłuchiwać.

MARYNARKA:

No i nic.

MŁODY:

Musi sie pan bliżyj stanōnć.

MARYNARKA:

Bliżej?

MŁODY:

Ja, a nojlepij legnōnć.

MARYNARKA:

Mam sie położyć?!

MŁODY:

Ja. Nojlepij tak na plask na brzuchu i…

MARYNARKA:

Pił pan! Piłeś w robocie!

MŁODY:

Jak Boga kochom!

Marynarka podchodzi do Młodego.

MARYNARKA:

Niech pan chuchnie. *(Młody chucha)* Jeszcze raz. *(Młody chucha przeciągle)*

MŁODY:

Som pan widzi. Jo je porzondny i uczciwy robotnik. Jo bych w życiu we robocie sie niy napiōł, bo wiym, że moga wylecieć. Mōj jedyn kamrat tak ze roboty wylecioł, to jo wiym jak to je. Ale to bōł gupek, a jo niy je żodyn gupek, jo je blank uczciwy.

MARYNARKA:

Dobra już, dobra. Ale ja tam nic nie słyszałem, rozumie pan?

MŁODY:

Bo to sie naprowda trza przisuchać, godom panu.

MARYNARKA:

Nie będę się tam kładł, jak jakiś debil!

MŁODY:

Ale to jak jo mom panu…

MARYNARKA:

W porządku. Zróbmy tak: słyszy pan teraz coś?

MŁODY:

Co?

MARYNARKA:

Stukanie, kurwa, a co! Puk, puk, puk, słyszy pan?

MŁODY:

No… *(słucha)* niy, bo to tam trza iść bliżyj i sie…

MARYNARKA::

…i sie legnonć…

MŁODY:

Gynau, bo terozki je ciszyj, ale bōło głośnij i sam tyż bōło słychać, a terozki… to jo już som niy wiym…

MARYNARKA:

Niech mnie pan posłucha, ok? Nie stukania, tylko mnie, tak? *(Młody potakuje)* No i git. *(łapie nagle Młodego za fraki)* Człowieku, do chuja pana, nie łaź mi więcej nad tę zasraną dziurę, rozumiesz? *(Młody potakuje)* Nie kładź się nad nią, nie klękaj, nie rób, kurwa, przysiadów nad krawędzią, ani skoków w dal, rozumiesz?

MŁODY:

Żodnego skokanio, rozumia.

MARYNARKA:

Na pewno?

MŁODY:

Na pewno.

MARYNARKA:

I super. Siedź tu, grzej tyłek, obejrzyj meczyk, rozwiąż krzyżówkę, cokolwiek, ok?

MŁODY:

Absolutnie.

MARYNARKA:

I najlepiej więcej do mnie nie dzwoń, nawet jak stamtąd wyjdzie tyranozaurus, kurwa, rex, to się schowaj, spierdalaj, albo cokolwiek, tylko nie dzwoń do mnie więcej, a już na pewno w nocy tak?

MŁODY:

Ja, ja, tak.

MARYNARKA:

A widzisz? Będziesz pracownikiem miesiąca, zobaczysz, baj!

Marynarka odchodzi.

MŁODY *(do siebie)*:

Grzej dupę, grzej dupę… *(woła za Marynarką)* Ale grzejnik som żech sie musioł spaczeć! Krawaciorz posrany…

3.

Młody siedzi przy biurku, przysypia. Słychać szum telewizora. Głośny trzask. Młody budzi się i wyłącza telewizor, nasłuchuje. Znowu trzask. Młody zrywa się, a w zapadlisku zaczyna migać słabe światło. Młody dostrzega to i chowa się za fotelem.

MŁODY:

Jezderkusie… Świynty Boże, Świynty Mocny… eee… *(żegna się)* Niechaj będzie pochwalony!

GŁOS:

Pokwolony!

MŁODY:

Fto tam?

GŁOS:

Jo, a fto?

MŁODY:

Ponbōczek?

GŁOS:

Jaki Ponbōczek? To jo, Alojz!

MŁODY:

Jaki Alojz?

GŁOS:

No… Alojz… zaroz… Abo niy Alojz? Czekej ino…

MŁODY *(do siebie)*:

To som jakieś zwidy… Jo… jo musza iś do dochtora.

GŁOS:

Ty?

MŁODY:

A fto? To jo słysza głosy.

GŁOS:

Jakie głosy?

MŁODY:

Z dziury.

GŁOS:

Jo ino ciebie słysza. Nikogo inkszego sam niy ma.

MŁODY:

Ale jo o ciebie godom!

GŁOS:

Czekej, to padosz, że jo niy istnieja?

MŁODY:

No toć, że niy! Jakim cudym ftoś by tam mōg żyć?… Zaroz… Wleciołeś tam?! Jeszcze powiydz, że na mojij zmianie…

GŁOS:

Niy, jo żech sam normalnie przziszoł i tela.

MŁODY:

Skond?

GŁOS:

Normalnie, z pokładu… zaroz jaki to bōł numer… 507.

MŁODY *(siada w fotelu)*:

Jezderkusie…

GŁOS:

Abo niy, ze pokładu 506, ze „Pelagii"… ja, „Pelagia", to 506. Na zicher. Abo… zaroz…

MŁODY:

Alojz?

GŁOS:

Jaki Alojz?

MŁODY:

Padołeś, żeś je Alojz.

GŁOS:

Możliwe, możliwe, som już niy wiym. Downoch z żodnym niy godoł i mi sie durch coś kićko we gowie.

MŁODY:

Skōnd te światło? Polisz tam czym?

GŁOS:

Karbidka mom. Ino zaroz jom zgasza, bo mie sie karbid kōńczy. Musza ôszczyndzać.

MŁODY:

Jak wejrza do tyj dziury, to byda cie widzioł?

GŁOS *(do siebie)*:

Jak jo sie nazywoł…?

MŁODY *(wstaje)*:

Ida… Musza cie zoboczyć.

GŁOS:

Ziga, chyba żech je Ziga.

MŁODY:

Niy goś tyj lampy.

Młody podchodzi bardzo powoli do krawędzi zapadliska.

GŁOS:

A możno Bercik…

Gdy Młody jest już dostatecznie blisko zapadliska, światło gaśnie.

MŁODY:

Niy! Ino niy to!

GŁOS:

Zgasło, wybocz. To bōł mōj ôstatni kōncek karbidu.

MŁODY:

Zamknij sie! Ciebie tam niy ma!

GŁOS:

Jak tak godosz, to niych ci bydzie. Jo sie wadziōł z tobom niy byda.

MŁODY:

I tak bydzie nojlepij.

GŁOS:

Ale klupać dalij byda.

MŁODY:

Niy! Klupać tyż niy możesz. Eli niy istniejesz, to niy klupiesz.

GŁOS:

Niystety, klupać byda, abo ci sie to podobo abo niy. Jo je bergmon ze kilofym i klupia na przodku, bo ôd tego jo sam je. Ciesz sie, że kombajnym niy fedruja, bo byś sam mioł fest larmo, a tak:
byda sie sam cicho klupoł i tela.

MŁODY:

Niy bydziesz ani godoł, ani klupoł. Zresztom…

Młody bierze do ręki telefon i wybiera numer, słychać dźwięki klawiszy.

GŁOS:

Widza, że tyż klupiesz. Pozowiściōł żeś mi?

MŁODY:

Dzwonia po karytka. *(do siebie)* Wiela to bōło… Dziywiyńć, dziywiyńć… Kurde, ze tych nerwów żech zapomnioł.

GŁOS:

A co, choryś? Mosz hercklekoty?

MŁODY:

Zawrzij sie. Przyjadōm, weznōm mie do lazarytu, dajōm jakie pile i już cie wiyncyj niy byda słyszoł. I twojigo klupanio tyż niy. *(Głos się śmieje)* Z czego sie lachosz?

GŁOS:

Bo jeszcze wczoraj miołeś zostać pracownikiym miesiōnca. A sam mosz: trzeci dziyń we robocie i już go wywiyźli.

MŁODY:

Ty żeś to wszystko słyszoł, co my sam godali?

GŁOS:

Coś tam mie sie ôbioło ô uszy.

MŁODY:

To czymuś sie wczoraj niy ôdezwoł? Szefu tyż by cie usłyszoł, no niy?

GŁOS:

Wczoraj mie we karku dropało. Sam na dole je czorny luft i sztyjc we karku dropie. Dzisioj tyż mie dropie *(kaszle)*, ino mynij, to moga z tobom godać, a tak w ogōle, to jo downo z nikim niy godoł.

MŁODY *(chowa telefon)*:

Jo już niy wiym, co mom robić, to sie niy dzieje naprowda.

GŁOS:

Suchej, mody, moga ci tak godać?

MŁODY:

Godej, jak chcesz.

GŁOS:

To zrobiymy tak: ty sie, mody, idź i legnij, abo siednij, abo co tam mosz, a jo niy byda terozki ani godać, ani klupać. Co ty na to?

MŁODY:

Mie pasuje.

GŁOS:

No i fajnie. Z tobom jednak do sie dogodać.

MŁODY:

Mosz recht, zy mnom zowdy.

GŁOS:

Już cie lubia. Ty musisz być fajny karlus.

MŁODY:

No… chyba ja.

GŁOS:

Na zicher. To dobranoc!

MŁODY:

Dobranoc.

Młody wraca do biurka, włącza szumiący telewizor, siada, zamyka oczy. Otwiera je.

4.

Młody wchodzi pomału na scenę, siada za biurkiem, wyciąga z kieszeni lekarstwa. Stawia je na biurku, patrzy na nie, bierze do ręki. Wyciska z blistra tabletkę, przygląda się jej, chce włożyć do ust, ale po chwili odkłada wszystko na biurko.

MŁODY:

Alojz! *(cisza)* Ziga! *(cisza, Młody wstaje i podchodzi do zapadliska)* Ziga-Ziga! Alojz-Alojz! Nic? Dropie cie w karku?

GŁOS:

Mie? Niy.

MŁODY:

To co niy ôdpowiadosz, jak cie wołom?

GŁOS:

Bo jo niy je Alojz. Znołech jednego Alojza, ale sie zwolniōł w siedymdziesiōntym, a Ziga to bōł mōj ujek ôd strony mutry.

MŁODY:

Niy Ziga, niy Alojz…

GŁOS:

Możno Achim…? Abo Szczepon.

MŁODY:

Niyważne. Bydziesz dzisioj klupać?

GŁOS:

Niy wiym, a co?

MŁODY:

Niy wiysz, a jo bych chcioł wiedzieć.

GŁOS:

To zależy ôd chynci. Jo je robotny chop, zresztom ty tyż, niy? Nale czasym som takie dnie, że mie sie niy chce i już. Dopiyro jak czowiek widzi, że inksze robiom, abo go sztajger pogoni, to wtynczos mu sie chce robić.

MŁODY:

Pytom, bo dzisioj je niydziela.

GŁOS:

We niydziela niy robia. Dziyń świynty świynca.

MŁODY:

Czyli byda mioł pokōj.

GŁOS:

A niy bōło niydziele wczoraj?

MŁODY:

Niy. Je dzisioj.

GŁOS:

Jak tak padosz.

MŁODY:

A kaj je twój sztajger?

GŁOS:

Tak po prowdzie, to downoch go niy widzioł. I inkszych kamratów tyż niy.

MŁODY:

A niy zastanowiołeś sie czymu tak je? Kaj ôni sie potraciyli?

GŁOS:

Wiym, że kajś som, ino blank daleko. Szukołech ich, ale szkoda mi bōło karbidu, bo żech ôszczyndzoł, a teroz cołkiem niy mom. Czasym ich słysza, jak ôsprawiajōm we jakimś chodniku, ale to musi być fest daleko, takie… echo ôd echa, co sie niesie ôciōsami.

MŁODY:

Dzisioj żech sie wywiedzioł poru rzeczy ô tyj grubie. Wiysz coch znoloz? Że zawarli jom we 1974. To bōło 34 lata nazod. 34!

GŁOS:

Zawarli?

MŁODY:

Ja. I niy ma możliwości, ażebyś sam siedzioł tela lot bez jedzynio i picio. To je fizycznie i po ludzku niymożliwe.

GŁOS:

To tak przeleciało? Pamiyntom, że wyłonczyli sztrōm i wszystko ôroz przestało działać. Zrobiōło sie larmo, że żodyn żodnego niy widzioł, tako bōła cima.

MŁODY:

Nic sie niy stało. Niy bōło żodnego wypadku, ani nic. Normalnie wziynli i zawarli gruba. Tela.

GŁOS:

Gupoty godosz! Gruba zawarli… Jak idzie zawrzić gruba? Sam je jeszcze tela wōnglo. Kaj niy wejrzisz, tam wōngiel, a gruba to je żywe stworzynie, co rośnie i rośnie.

MŁODY:

Ja, uhum… I żywi sie bergami.

GŁOS:

Żebyś wiedzioł! Zawrzić gruba… Śmiychu werte. A na wiyrchu, to czym polisz? Cajtongami? No, powiydz, czym sie terozki poli, jak niy czornym, ślōnskim złotym?

MŁODY:

Jo na przikład mom kocioł na gaz.

GŁOS:

Na gaz? Tyś chyba ôgupioł! Jak idzie chałpa gazym grzoć?

MŁODY:

Wōngiel, to za niydugo bydzie przeżytek. Z tego je ino kupa sadze i tego cołkigo dwutlynku, bez kiery sie cołki świot przegrzywo.

GŁOS:

No i bardzo dobrze! Jo lubia jak je ciepło, a sam na dole to już je cołkiym ciepło.

MŁODY:

Ty nic niy wiysz. Je blank na ôpak.

GŁOS:

To jo sam klupia po darymno? A tyn cołki gaz, to skōnd go mosz?

MŁODY:

Ze Rusōw.

GŁOS:

Terozki wszystko rozumia, zawarli nom gruby, żeby gaz przedować.

MŁODY:

My sie sami te gruby zawarli. A komuny już niy ma kupa lot.

GŁOS:

Jezderkusie, to aże tak źle je? Dobrze, żech je sam, a niy na wiyrchu. Pokryncony tyn świat. Co jo bych tam robiōł?

MŁODY:

Jak co? Bōłbyś na pyndzyji.

GŁOS:

Niy, co to, to niy. Nigdy! *(odgłos szybkiego walenia kilofem)*

MŁODY:

I beztōż niy wierza.

GŁOS *(przestaje walić)*:

W co?

MŁODY:

Że istniejesz. W twojim wieku i we takich warunkach niy mōgbyś być taki wyzgerny.

GŁOS:

Niy wierzisz, a zy mnom godosz, to jako to?

MŁODY:

Zaroz przestana

Młody idzie do biurka, bierze tabletkę i popija ją wodą prosto z czajnika.

GŁOS:

Co tam duldosz?

MŁODY:

Podebrołech mojij kobiycie pile, kere biere na, jak ôna to pado, złe samopoczucie. Licza, że jak zacznōm działać, to przestana cie słyszeć.

GŁOS:

To jo je ciekawy, czy zadziałajom.

MŁODY:

Zadziałajom… Na zicher.

Młody siada w fotelu, a po chwili bierze jeszcze jedną tabletkę i popija cicho.

5.

Młody w fotelu śpi. Z dziury dobiegają miarowe uderzenia kilofa, grzejnik pracuje. Wchodzi Marynarka ze słuchawkami w uszach, kiwa głową w takt muzyki. Patrzy na Młodego, sprawdza ręką, czy grzejnik grzeje, po czym go wyłącza. Podchodzi do zapadliska, lecz zachowuje dystans. Zapala papierosa. Obchodzi dziurę dookoła, stara się jak najszybciej wypalić papierosa. W końcu wrzuca go do środka i wychodzi.

6.

Telefon budzi Młodego. *Odbiera.*

MŁODY:

Halo?… A, to ty. Niy zoboczyłech, fto dzwoni. Coś chciała?… Nudzisz sie?… A czymu niy śpisz?… Niy wiym wiela godzin, trocha żech sie kimnōł… To puść sie jaki film abo serial… Jo wiym, mie sie tyż sam cni bez ciebie, ale tako mom robota… To niy bydzie dugo trwało. Zasujom ta dziura i mie przeniesom kaj indzij… Dyć wiysz, że za nocki mi wiyncyj płacom. Przecaś muszymy tyn kredyt jakoś spłacić… Wiela razy mom ci godać to samo?… No i zaś żeś je zło…. Jeronie, przepraszom cie. Może być?… Co?… Chcesz iść na impreza? Do kogo?… A, do Ilony. Lepij tam niy idź, jo ij niy lubia… Sama wiysz czymu… No, jeszcze taksa sie zamōw, jasne… Dobra, dobra….

Młody rzuca telefon na biurko. Łapie się za głowę.

GŁOS:

Pile działajom?… Słyszysz mie?… Chyba działajom, znaczy, że moga sie wziōnć mōj kilof i troszka poklu…

MŁODY:

Niy, prosza, cie!

GŁOS:

Czymu?

MŁODY:

Te pile, zdowo sie, ino do babōw som.

GŁOS:

Kule, chciołbych ci jako pomōc.

MŁODY:

Mie już chyba nic niy pomoże.

Młody staje przy wyrobisku.

GŁOS:

Eee, niy godej tak. Gowa do gōry!

MŁODY:

Jasne, jasne, to jo ôsprawiom ze chopym we dziurze, a niy ty.

GŁOS:

A to jo je tym chopym.

MŁODY:

Niy mom inkszego wyjścio: musza w ciebie uwierzić.

GŁOS:

No i widzisz! Nojlepsze som nojprostsze rozwiōnzania. Jo je grubiorz, wiym, co godom.

MŁODY:

Tyż tak myśla.

GŁOS:

Powiydz mi, ta frela, coś z niōm godoł, to jak sie mianuje?

MŁODY:

No ja, słyszołeś…

GŁOS:

Już wiysz, że jo dycki wszystko słysza. To jak?

MŁODY:

Mariola.

GŁOS:

Musisz ij fest przoć, co?

MŁODY:

No toć!

GŁOS:

Baby, niy?

MŁODY:

Co, baby?

GŁOS:

No, same probymy z niymi, pra?

MŁODY:

A co ty możesz wiedzieć, jak pōł życio po cimoku siedzisz?

GŁOS:

Niy przesadzej! Dopiyro terozki mi sie karbid skończōł. To jak?

MŁODY:

Co jak, co jak… Ôna siedzi we chałpie, a jo durch na nocki robia.

GŁOS:

Prosto sprawa. Ino jak jom mosz upilnować…?

MŁODY:

Gynał.

GŁOS:

Młodo dziołszka je, na zicher gryfno. Chce sie wyszumieć.

MŁODY:

We trzecim miesiōncu je.

GŁOS:

Kurde balans! To gratuluja!

MŁODY:

Ja, wszyscy gratulujom, ino co z tego?

GŁOS:

A ôjce wasze niy pomōgajom wom?

MŁODY:

Ôjce… Ôjciec ôd nos poszoł, jak żech bōł malutki, a pora lot potyn matka umarła na raka. W bidulu żech sie chowoł. Zrobiłech zawodōwka, a potyn nawet matura i wtynczos poznołech Mariola. Jako to je fajno dziołszka!… Jak ôna sie fajnie śmieje i ôczy mo takie wielkie, siwe choby miesiônczki… A nojbardzij lubia te jeji blond pasymka ze przodku, znaczy, lubiłech, bo terozki sie zrobiōła na rouz… Jak to gupie wyglōndo! A jak żech ij to pedzioł, to sie na mie ôbraziyła, pedziała, że to je jeji sprawa, jak ôna chce wyglōndać. No i mo… jak ta cołko Ilōna. Dwie papugi. I jeszcze mi pedziała, że sie chce tatuaż machnonć. Nawet mi pokozała jaki. Na pōł rynki. Jo tam nawet lubia tatuaże, nale bez przesady. A ta wszystko robi, co ta Ilōna. Terozki, jak już czekomy na tego bajtla, to mōgłaby sie powstrzimać i niy łazić na te dyski, pra? Pado, że niy pije… A z jakij racji jo mom ij wierzić, jak Ilōna je drinkniynto dziyń w dziyń. Jo rozumia, że ônyj sie niy widzi, że jo na te nocki robia, ale jeji ôjce nom niy pomōgom nawet ze tym kredytym. Bo niy momy ślubu… Zresztōm, tyż ciynko przyndōm. Jo ôd nich nic niy chca. Ôd nikogo nic niy chca. Chca ino, żeby bōło normalnie i beztōż robia wiela sie do i wiela poradza. A ônyj je durch źle i durch mało. To abo, abo, kuźwa.

GŁOS:

Widza, że mosz pierōnowo utropa. Chciołbych ci pomōż, ale cołkie moje żywobycie to je sam na dole. Nawet niy pamiyntom, eli som żech mioł jako baba.

MŁODY:

I nawet niy pamiyntosz, jak sie mianujesz.

GŁOS:

Tyż prowda. Ale je to takie ważne? Mie sam je dobrze. Łaża sie kaj chca, kopia wōngiel, a jak niy kopia, to myśla.

MŁODY:

A ô czym?

GŁOS:

Że żech je w nojpiykniyjszym miejscu na ziymi, nawet teroz, jak już niy mom tego karbidu, to dalij żech je szczynśliwy.

MŁODY:

Jak tak po cimoku idzie być szczynśliwym?

GŁOS:

No dyć, że idzie. Jo tu je som ze sobōm i nic już niy potrzebuja, ani jedzynio, ani picio, ani nawet baby. Niy myśla ô gupotach i ô nic sie niy musza starać.

MŁODY:

A niy chciołbyś tak kiedy wylyź? Sam sie terozki pieronym fest pozmiyniało. Niy je żeś na bieżōnco.

GŁOS:

Pozmiyniało? To coch zdonżył usłyszeć, co tam godocie na wiyrchu mie jakoś niy przekonało.

Podmuch wiatru, Młody trzęsie się, pociera ręce, wraca do stróżówki, włącza farelkę, ale ta nie działa. Wyciąga ją spod biurka i wali nią o podłogę, wykopuje za kulisę. Wraca, załącza czajnik, przykłada do niego dłonie, grzeje się.

7.

Za biurkiem siedzi Marynarka. Wchodzi Młody, nie zauważa go, rozmawia przez telefon.

MŁODY:

…przinojmij dej mi jom do telefonu… Jak to niy chce!? Jak niy chce zy mnom godać, to niych mi to powiy!… Wyście som ôbie siebie werte… Zresztom, jak chce, jo jom mom połno rzić, niych tam sie siedzi u cia… Ja, i super, możecie sie farbować kudły jedna drugij, bo ino to poradzicie… Ja, spadōwa, bez ôdbioru.

MARYNARKA:

Kłótnia w rodzinie?

MŁODY:

Ale mie pan wystraszył!

MARYNARKA:

Spoko, nie będę się wtrącał. Załatwiłem panu grzejnik. *(wyciąga z torby farelkę i stawia na biurku)* Na zimę załatwię coś bardziej wydajnego.

MŁODY:

Ciesza sie.

MARYNARKA:

A co tam słychać… w dziurze?

MŁODY:

Nic niy słychać. To bōły szumy uszne.

MARYNARKA:

Tak przypuszczałem. Ważne, że już przeszło.

MŁODY:

Jasne.

MARYNARKA:

Jakiś taki pan blady.

MŁODY:

Ôstatnio gorzij śpia.

MARYNARKA:

Energetyki są dobre. Dodają skrzydeł. *(śmiech)* A ludzie?

MŁODY:

Jakie ludzie?

MARYNARKA:

Chodzą tu? Zaglądają?

MŁODY:

Niy za czynsto. Nojczynścij bajtle. Ale zaroz ich ôdpyndzom.

MARYNARKA:

I tak trzymać. Jeszcze tylko jakiegoś nieszczęścia nam tu brakuje.

MŁODY:

Niy na mojij zmianie.

MARYNARKA:

I o to chodzi! To ja… *(wstaje)*

MŁODY:

Mom pytanie.

MARYNARKA:

Jasne.

MŁODY:

W ta sobota… moga wziōnć wolne? Chciołbych iść ze… dziołchom do kina.

MARYNARKA:

Teraz w sobotę?

MŁODY:

No…

MARYNARKA:

Ummm… ciężko będzie, zobaczę *(wyciąga kalendarz, sprawdza)* Gdyby pan kilka dni temu mi powiedział, to bym znalazł zastępstwo, a tak… raczej nie.

MŁODY:

Rozumia.

MARYNARKA:

Ale w przyszłą sobotę jak najbardziej.

MŁODY:

Do sie?

MARYNARKA:

Oczywiście.

MŁODY:

To jak tak, to…

MARYNARKA:

Za tydzień w sobotę ma pan wolne.

MŁODY:

Piyknie panu dziynkuja!

MARYNARKA:

Nie ma za co. To na razie!

MŁODY:

Na razie!

Marynarka wychodzi.

GŁOS:

I jeee! Jaki dobry pon! Doł ci wolne na kino! *(śmiech)*

MŁODY:

I z czego sie lachosz? Moja nie chce zy mnom godać i musza jom jakoś ôbłaskawić. Terozki siedzi u tyj Ilony.

GŁOS:

Godej, co sie stało?

MŁODY:

Spytołech sie jom, eli to je na zicher mōj bajtel.

GŁOS:

O kule… A co, mosz wōnty?

MŁODY:

Jedyn kamrat mi pedzioł, że inkszy słyszoł, wiysz jak je…

GŁOS:

I co dalij?

MŁODY:

Jo trocha popiōł i… wydar żech pysk na Mariolka… Możno trocha za głośno, a ôna wziōna klamory i poszła miyszkać… wiysz do kogo.

GŁOS:

Normalnie, choby we babskich ksiōnżkach.

MŁODY:

Abo telenowelach.

GŁOS:

Tego niy znom.

MŁODY:

Takie… gupoty.

GŁOS:

Co terozki zrobisz?

MŁODY:

Niy wiym. *(bierze farelkę)* Wszystko żech już mioł poukłodane: kobiyta, bajtel… familio, tako, jakij jo som niy mioł. *(podłacza ją do prądu)* Szybko kara, lepszo robota, a potyn może i swoja chałpa… *(włącza)* Grzeje.

GŁOS:

Ale licho. *(Młody puka w grzejnik)* Lepij niy bydzie.

MŁODY:

Skond wiysz? Skond ty to możesz wiedzieć, co?! *(puka jeszcze raz)* O, terozki grzeje! I to jak! Niy miołeś racje, widzisz?! Grzeje jak ta lala! Wszystko sie udo i poukłodo, jak trza, zoboczysz. *(grzeje dłonie)* Ale cieplutko… Bydzie dobrze. Bydzie super…

8.

Głośny wiatr. Bicie dzwonów w oddali. Młody wchodzi ciepło ubrany, bez kamizelki. Zatacza się. Z kieszeni wystaje butelka wódki.

MŁODY *(śpiewa)*:

Pasterze śpiewają, bydlęta klękają… *(podchodzi do zapadliska i klęka)* Jeżeś tam?! Bydlęta klękają! Puk, puk! *(wyciąga butelkę z kieszeni, odkręca ją, widzi, że jest pusta)* Chyba sie niy napijymy… Prōzno… Jak to sie stało? Hej, panie Skarbek! *(śmiech)* Jużech cie rozgryz… Coś taki cichy?! Hop, hop! *(odrzuca butelkę, wstaje)*

GŁOS:

Skarbek?

MŁODY:

No dyć! Duch ze gruby. To ty, żodyn inkszy.

GŁOS *(śmiech)*:

Skarbek, a to ci dopiyro! Niy godej, że w to wierzisz.

MŁODY:

Ani Francek, ani Hanek, ani Janek…

GŁOS:

… ino Skarbek, ja?

MŁODY:

Musisz być, bo jak niy, to fto? Mie już sie skończōły pomysła, abo ty mie durch ciulosz.

GŁOS:

Jo? Nigdy! Za dużoś wypiōł. Jak twój ôjciec.

MŁODY:

Znołeś mojigo ôjca?!

GŁOS:

Znołech? Je sam na dole. Czasym sie mijomy, ale ôn nic niy godo, ino łazi stropiōny i sztyjc ôżarty, co mie dziwi, bo sam niy ma gorzoły, choby niy wiym wiela szukać. Możno mu je żol za to, co zrobiōł ciebie i matce? Co padosz?

Młody patrzy do góry.

MŁODY:

Czuja śniyg. Już leci na ziymia. Bydom biołe świynta. Za chwila momynt. Jeszcze troszyczka. A u mie we chałpie cima. Mariola ciepła mie dziyń przed wilijōm.

Młody podnosi ręce.

GŁOS:

Godni Świynta… Tyż to czuja. Taki inkszy luft je. Czuć skōrzicom i grzebyczkami.

MŁODY:

Leci, czuja to.

GŁOS:

Moczka i makōwki… Ale to musi być dobre, nigdy żech niy jod…

MŁODY:

Pedzieć ci co?

GŁOS:

Godej.

MŁODY:

Jo tyż niy.

GŁOS:

Nawet we bidulu?

MŁODY:

We bidulu sie niy liczy! We tym roku miało być inakszyj, ale niy pykło. *(śmiech)* Pyk, pyk, pyk… *(głośny śmiech)* Ej, Niy-Skarbek!

GŁOS:

Co?

MŁODY:

Mom coś dlo cia.

GŁOS:

Gyszynk?

MŁODY:

Gynał, gyszynk. Czekej… *(szuka po kieszeniach)* Mom! *(wyciąga puszkę)* Karbid!

GŁOS:

Jezderkusie, richtig?

MŁODY:

Ja, taki na krety. Dostołech w ôgrodniczym. Ciepna ci.

GŁOS:

Niy!

MŁODY:

Jak niy? Dyć już ci brakło.

GŁOS:

Ja, ino że jak ciepniesz, to niy doleci.

MŁODY:

To… co mom zrobić?

GŁOS:

Musisz sam prziść i mi go dać.

MŁODY:

Po jakiymu?

GŁOS:

Slyź na dōł, usuchnij mie. To niy je takie ciynżkie do zrobiynio. I niy możesz sie boć. Boisz sie?

MŁODY:

Jo? A czego?

GŁOS:

Som widzisz. To ino dziura w ziymi, jakich pōłno naôkoło. I jo sam je. I możno sie ze ôjcym poôsprawiosz, a ôn wytrzyźwieje. Nic ci sie niy stanie, zoboczysz.

MŁODY:

Padosz?

GŁOS:

Słaź, bo czekom. Czekomy.

MŁODY:

No dobra, ida.

Młody chowa puszkę do kieszeni. Poprawia kurtkę, sznurowadła. Siada ostrożnie na krawędzi, patrzy w dół i osuwa się. Gaśnie światło, szum wiatru. Po chwili pojawia się słabe światło w zapadlisku i rozlegają się uderzenia kilofa, najpierw głośne, później coraz cichsze, w końcu milknące. Światło gaśnie.

(W połowie października 2008 zapadła się pokrywa przykrywająca dawny Szyb III kopalni Matylda w Świętochłowicach-Piaśnikach. W krótkim czasie teren został ogrodzony i zatrudniono ochronę. Sam wylot przykryto prowizoryczną metalowo-drewnianą kratą istniejącą do dziś. Teraz ochrony już nie ma, a na sam teren, mimo ogrodzenia, można łatwo wejść, przystanąć. I słuchać.)

EINE KLEINE DORA ABO ÔSTATNI FAJER

Monika Kassner

CZAS A PLAC:

Piyrszy grudnia tysiōnc dziewiyńćset ôsiymdziysiōntygo szōstygo. Chaupa ôd Skoczkōw.

PERZŌNY:

KLARA SKOCZEK (baba ôd Norbeta)
NORBET SKOCZEK (chop ôd Klary)
MILERKINDKA (sōmsiadka z piyrszygo sztoku)

GODAJŌM Ô:

Kympce (uciōnżliwym kamracie)
Helmucie Milerkindzie (chopie ôd sōmsiadki)
Werce Milerkindce (cerze ôd sōmsiadki)
Trudce (przysposobiōnyj cerze ôd Skoczkōw)
Zeflu (chopie ôd Trudy)
cerach ôd Skoczkōw: Marcie, Gerdzie i Anie
Adolfie (kamracie ôd Norbeta, ôjcu ôd Zefla)

BINA I

Kuchnia Skoczkōw. Norbet rychtuje śniŏdaniy. Klara seblekŏ sie w antryju.

NORBET:

I co ci dochtor pedzioł?

KLARA *(z antryja)*:

Mōm serce choby zwōn. Niy musza sie starać. Trocha diety i styknie. *(Wieszŏ mantel na hak i włazi do kuchni)* Narychtowołś możno śniŏdaniy? Takŏ żech je głodnŏ.

NORBET:

No dyć. Twoja nojrŏdszŏ smażōnka z tōmatōm a kafyj.

KLARA *(siadŏ za stołym)*:

Ty zŏwdy wiysz jak mi dogodzić *(napoczynŏ jeść)*. A wiysz, co tyn dochtor mi jeszcze pedzioł?

NORBET *(dosiadŏ sie do Klary z szolkōm kafyju)*:

Co mŏsz aksamitne ciało.

KLARA:

A po jakiymu żeś to zgŏd?

NORBET:

Bo kŏżdy dochtor ci to gŏdo ôd sztyrdziestu lŏt.

KLARA:

Niy być taki uszczypliwy.

NORBET:

Ani żech śmioł. Gŏdōm jak jest. Zŏwdy żeś miała aksamitne ciało, czerwony lipynsztift i słabość do gryfnych karlusōw,.

KLARA:

To bōło bezmaść piyndziysiōnt lŏt nazŏt *(chichro sie)*. A wziełach sie nojgryfniyjszygo śnich.

NORBET:

Pamiyntōm jak żeś śpiywała na binie we Grocie. Kŏżdy na cia filowoł, a żŏdyn niy mioł śmiałości zagŏdać.

KLARA:

Ino ty. Tak my już sōm piyndziysiōnt lŏt *(bliko na kalyndŏrz)*. Nale co tam dochtory i jijch gŏdaniy. Przeca dzisiej je piyrszy grudnia, a ty za tydziyń mŏsz geburstag. Trza narychtować festelny fajer jak zŏwdy.

NORBET:

Jeszech ciekŏw, wiela tych fajerōw nōm jeszcze Pōnbōczek dŏ przeżyć.

KLARA:

Wiela trzeba. Ôd przyznaczyniŏ jeszcze żŏdyn niy citnył. Niy ma co tuplikować, ino trza sie brać za robota.

NORBET:

Mŏsz recht. Dej kōncek papiōru, napiszymy, co trza kupić i ô kim niy zapōmnieć.

KLARA *(podnosi gowa znad talyrza i grzebie we szuflŏdce)*:

Ô Kympce, bo zaś sie pogorszy.

NORBET *(biere filok)*:

Ino ôn je taki przepadzity, co trza bydzie kupić przynajmniej dwie flaszki gorzoły wiyncyj.

KLARA:

Nigdy niy zapōmna jak ukrŏd piyniōndze ze funduszu socjalnygo we hucie, a potym sōm sie gymba potrzaskoł i pedzioł, co go jakieś rojbry sprały i mu tyn gelt porwały.

NORBET:

Ino żŏdyn w te fanzolyniy niy uwiyrzył i Kympka musioł ôddać co do feniga. Ta baba to śnim mŏ siedym światōw.

KLARA:

Co ôna w nim widziała? Mały, ruby, kej sie napiere, dostŏwo sznupa choby pekińczyk.

NORBET:

Zowitka bōła, to sie musiała jakigoś chopa wziōnć, coby ludzie niy gŏdali. Bodej lepszygo ôwdy niy bōło.

(Zwonek do drzwiyrzy)

KLARA:

Kogo tam niesie przy śniŏdaniu?

(Norbet idzie ôtworzyć)

BINA II

W ôtwartych dźwiyrzach

NORBET:

Dobry dziyń. Co tam u wŏs, Milerkindko?

MILERKINDKA:

Przyniosłach wōm galertu. Przeca za tydziyn mŏcie geburstag, a porzōndny fajer bez galertu ôbyjść sie niy może.

NORBET:

Prawie rychtujymy z Klarōm lista zakupōw. Naleście nōm zrobili niyspodzianka. Wleźcie na kafyj. Świyży żech uwarzył.

MILERKINDKA:

Wybŏczcie, nale musza poszukać mojigo kocika. Terŏzki ôstałach sama jak palec, to sie człowiekowi cni. Na wieczór niy ma ani do kogo gymby ôtworzyć,

to mōm aby tygo piyrzyńskigo chuncwota, co abo go kajś szukōm, abo gardiny zmieniōm.

NORBET:

Kaj zaś śmitnył?

MILERKINDKA:

Bezmaść w hasioku sznupie, a miski w dōma pełne. Szkoda gŏdać *(machŏ rynkom).* Mŏ możno Klara jakie stare gardiny do kuchni? Bo tyn piyrōn stargoł mi ôstatnie i niy mōm co do ôkna wrazić. Już myśla, co miyszkōm choby w Szopienicach na Gardinsztrase, ino że tam kŏżdy dziyń myjōm ôkna, a jŏ wiyszōm nowe gardiny. Chnet przy niymu do drobnych przyda.

NORBET:

Zarŏzki jōm spytōm. *(Wychylŏ sie zza winkla)* Sōmsiadka pyto ô jakeś stare gardiny do kuchni.

KLARA:

Tyn gizd zaś sie huśtoł? A gŏdałach, co kocik to skŏraniy boskie.

Norbet kiwŏ gowōm z potwierdzeniym.

KLARA:

We szranku w sypialni, ôstatniŏ pōłka na wierchu.

Norbet na chwila znikŏ we sypialni i wyłazi z gardinami.

MILERKINDKA:

Dziynkuja wōm, żeście mje wyretowali. Przynajmnij żŏdyn niy bydzie mi filowoł do dōm.

NORBET:

Bydziecie na fajerze?

MILERKINDKA:

Toć. Tym galertym to po prŏwdzie żech sie trocha wprosiła.

NORBET:

Przestōńcie. Przeca bez galertu tyż by my wŏs prosili. Po staryj znajomości z wami i waszym chopym.

MILERKINDKA:

Tesno mi do niygo. Nale niy ma co wajać. Żŏdyn mu już życia niy wrōci. Ida szukać tygo małygo gizda.

Norbet zawierŏ dźwierze

BINA III

Norbet włazi do kuchni i chowie galert do lodōwki.

KLARA *(bliko bez ôkno za sōmsiadkōm)*:

Żŏl mi tyj Milerkindki. Ôrŏz ôstała sama.

NORBET:

Kejby Werka niy citła do Rajchu, Helmut możno by jeszcze żył.

KLARA:

Takie rzeczy to ino Pōnbōczek wiy.

NORBET:

Przeca dochtor pedzioł, co kej go ôtwarli, mioł serce pynkniōne na poły. To ze tynsknoty za cerōm. Mioł jōm ino jedna.

KLARA:

A terŏzki ôstała sie sama Milerkindka… bez chopa i bez cery… Co za świat *(Klara szluko sie kafyju a bliko na kartka).* Galert już mōmy, nale muszymy ôbsztalować francki a udka z kury. Dzisiej je pōniydziałek, to jutro z samygo rana trza stanōnć we raji u masŏrza.

NORBET:

Jŏ stana, a ty ôbsztaluj grincojg na szałot, weka, kołŏcz, no i torta.

KLARA:

Ze szlagzanōm. I jajca na ajerkoniak.

NORBET:

I kista gorzoły.

KLARA:

I bydymy śpiywać: – Wszystkie rybki śpiōm w jeziorze. Tiula la tiula la la. Moja stara spać niy może. Tiula la tiula la la…

NORBET:

Abo twoja nojrŏdszŏ: Eine kleine Dora, w mej pamiynci lśni. Eine kleine Dora, ciōngle mi sie śni.

KLARA:

Ô gorzoła poprosza Trudka. Robi w ksiyngarni, to pōdzie ô rōg do dziouchōw z monopolowygo i wymiyni pora ksiōnżek na flaszki. Baby majōm bajtle, bydōm rade. Niydugo Mikołŏj. Ksiōnżka gyszynk jak znŏd.

NORBET:

Gŏdosz? Niy chca jōm zaś prosić ô gorzoła. Niy mōmy inkszygo pomysłu?

KLARA:

Truda to je dobrŏ dzioucha. Do nij to niy ma żŏdyn starunek. Robi w handlu bezmaść cołkie życie.

NORBET:

Niy cołkie, niy cołkie. Ino ôd czasu, kej nowŏ szwigermutra kŏzała jij zawrzyć warsztat zygarnika po chopie. No bo przeca babie niy uchodzi prowadzić gyszeftu. Tak by sie siedziała i zygŏry sprŏwiała, a tak ksiōnżki przeciepuje i durś jōm kark boli.

KLARA:

Niy wajej. Ze szwigermutrōm niy żyje, ino z chopym. A to je dobry karlus, a niy taki ôchyntol jak tyn piyrszy, jak mu bōło? Włodek z Gorolowic? Z tym ôżynkiym to ta dzioucha wleciała choby z deszczu pod rynna. Tyla co za bajtla sie wycierpiała, to żŏdyn bodej niy uwiyrzy. Kejby moja siostra niy wylazła z banki gynau pod tyn diosecki autok, jeszcze z bajtlym w drodze, Truda niy dostałaby takij drugij matki, co jōm prała aże sie kurzyło. Niy gŏdej, coś już zapōmnioł.

NORBET:

Pamiyntōm, pamiyntōm, co jij bezmaść wszystkie kłaki wytargała. I wola niy myśleć, co by bōło, kejbyś do nij ôwdy niy przylazła i Trudki stamtōnd niy wziyła.

KLARA:

Ta pierońsko motyka by jōm zatrzasła, a tak dzioucha sie wydała, mŏ cera i wszystko sie ułożyło. A kej ciotka Klara fajnie poprosi, niy starej sie, Truda ta gorzoła ôbsztaluje.

NORBET:

To pisza: Truda i Zefel, no i fater ôd Zefla Adolf.

KLARA:

Zefel ja. Nale Adolf? Jak sie ôżre, to włazi na stōł i śpiywo „Gaudeamus igitur".

NORBET:

Bo to jego nojrŏdszŏ piyśniczka ze karczmy piwnyj, a przeca za pora dni Barbōrka. Zresztōm to zŏwdy jakŏś ôdmiana.

KLARA:

Jŏ tam wola kej wszystko je na swojim placu.

NORBET:

No to niy zapomnij ô naszych cerach.

KLARA:

Z chopami.

NORBET:

Marta a Gerda możno ja, nale Ana? *(Norbet dropie sie w czoło)*. Jij jest gańba pokŏzywać sie z tym ôżyrokiym. Marta padała, co zaś jij cosik z dōma wyniōs, bo niy mioł na gorzoła.

KLARA:

Niy dziw, co Ana tak wosy traci.

NORBET:

Marta i Ana zŏwdy miały słabe wosy.

KLARA:

To po ciebie.

NORBET:

Przeca jŏ mōm glaca.

KLARA:

Terŏzki, nale dŏwnij mioł żeś takie ôszkubki. Beztŏ dziouchy majōm liche wosy.

NORBET:

Ino niy Gerda. Ta to mŏ warkocz, ruby choby moja rynka.

KLARA:

Takŏ sie wyrodziła *(wzruszŏ ramionami)*.

NORBET:

Bo ôna niy je moja ino tygo Niymca, co żeś go poznała, kej jŏ bōł we Francyji.

KLARA *(aże podskoczyła na stołku)*:

Co ty to fanzolisz choby potuczōny. Niy bōło żŏdnygo Niymca ani inkszygo chopa. Przeca Gerda sie urodziła dziewiynć miysiōnczkōw po tym, jak żeś przyjechoł na przepustka.

NORBET:

Siedym i pōł. Mōm to porachowane. I by mje niy bōło, ino żech dostoł brif ôd sōmsiadōw, co mōm drab przyjeżdżać, bo sie prowadzŏsz z jakimś niymieckim wojŏkiym. Zŏwdy żeś miała słabość do gryfnych karlusōw.

KLARA *(ôdwracŏ gowa do ôkna)*:

Zŏwdy sie znŏjdzie jakiś zŏwistny. Ô te pakety, coch dostŏwała, boś bōł na froncie.

NORBET:

To niy bōł brif ino ôd jednyj perzōny. Pod nim sie szrajbła cołkŏ życzliwŏ sień.

KLARA *(ôdwracŏ gowa nazŏt z płaczkami we ôczach)*:

Toś ty cołki czas wiedzioł, co Gerda niy je twoja i nic żeś niy pedzioł?

NORBET:

Jak żech ôbejrzoł twōj czerwōny lipsztift i te twoje aksamitne ciało, wszystko żech ci wybŏczył. Zŏwdy żech ci przoł.

KLARA:

A jŏ cołkie życie myślała, coś ty niczego niy spokopił. Nale jŏ bōła gupiŏ.

NORBET:

Mlyko sie rozloło, nale już wyschło i niy ma co ô tym gŏdać. Mōmy trzi gryfne cery a wnuki, i z tygo żech je rŏd. Może niy z jijch chopōw, bo trefiły sie same pijŏki, nale terŏzki takie czasy, wszystkie słepiōm.

KLARA *(wycierŏ płaczki taszyntuchym)*:

Nale żeś mi gyszynk narychtowoł na tyn twōj geburstag.

NORBET:

Niy ślimtej. Chyba dobrze, żech ci prŏwda pedzioł?

KLARA:

Dobrze. Ino mi sie zdŏ, coby to bōło wczorej i niy mōm nic na swoja ôbrona.

NORBET:

Niy starej sie, kōń mŏ wielko łeb, niech myśli. Za tydziyń mōmy fajer i muszymy wszystko przyrychtować. Ty lepij skryj kajś te wszystkie lipsztifty, bo kej bajtle zaś sie do nich dorwiōm, bydymy mieć antryj pełny Indianerōw.

KLARA:

Mŏsz recht. Nale terŏzki legna sie na godzinka, bo mi sie jakoś ciynżko dychŏ, a potym wezna sie za sporzōntaniy.

Klara wyłazi z kuchni.

BINA IV

Norbet sōm w kuchni, zmywŏ talerze i szolki po śniŏdaniu a śpiywŏ pod nosym.

NORBET:

Eine kleine Dora, w mej pamiynci lśni. Eine kleine Dora, ciōngle mi sie śni…

Chowie we szranku mantel ôd Klary, wrażŏ szczewiki do ławki i ôglōndŏ swoje ôdbicie we zdrzadle.

NORBET:

Jakie ôszkubki? Przeca jŏ zŏwdy mioł tako fajno glaca. Beztŏ Klara mi przoła. Niy wiym, co ôna richtich widziała w tym niymieckim wojŏku. Pōno mioł krynte czŏrne wosy. Niy ma co spōminać. Bôło, minyło. Tyla my razym przeżyli. Pōnbōczek dŏ, co jeszcze niyjedyn fajer przeżyjymy.

Włazi do izby, kaj nyno Klara. Siadŏ wele nij na łóżku.

NORBET:

Gryfnŏ Klara i te twoje aksamitne ciało.

Biere jōm za rynka i dŏwo kusika w czoło. Rynka Klary wysuwŏ sie z jego rynki.

NORBET:

Klara? *(budzi jōm kusikami)* Klara? Niy rōb mi tygo! Klara! *(głasko jōm po licach)* Po co jŏ ci to gŏdoł. Mōg żech udŏwać, co nic niy wiym. Tak żeś za prŏwda mi sie ôdwdziynczyła? Taki żeś mi gyszynk na geburstag przyrychtowała?

Zwonek do dźwiyrzy

NORBET:

Kogo tam zaś niesie? *(do Klary)* Czekej tu, jŏ zarŏzki byda nazŏt *(ukłŏdŏ jij rynce na krzyż)*

Ôtwierŏ dźwiyrze

MILERKINDKA:

Podziynkujcie Klarze za te gardiny, szyte choby na moje ôkna.

NORBET:

Sami jij podziynkujcie *(zaprŏszŏ jōm rajn do izby, kaj leży Klara)*

MILERKINDKA *(stŏwo w progu)*:

Przeca ôna… *(rynkōm zakrywŏ gymba)*

NORBET:

Ja. Zemrzyła. Pŏra minut tymu.

MILERKINDKA:

To galert pōdzie na zmarnowaniy?

NORBET:

Niy starejcie sie. Na stypa bydzie jak znŏd.

MILERKINDKA:

To taki fajer człowiekowi ôstoł na stare lata.

NORBET:

Kŏżdy mŏ swōj ôstatni fajer. Widać mojigo Klara miała niy dożyć.

GRUBA FERDYNAND

Roman Kocur

WYSTYMPUJÕM:

(wszyjscy oblyczyni jak piyrwyj sie chodziyło – sto lot tymu)
DYRECHTOR – na tyj Grubie
PROJEKTONT – chop, kery szykuje po nowymu (już we Polsce) ta Gruba
SEKRETORZ – byamter ôd Dyrechtora
GAŁUSZKA – Ślōnzok, sztajger, inżyniyr na tyj Grubie

BINA

Na binie sōm dwie, złonczone ze sobom, wielke płachty (abo wielke papyndekle) ze malunkym abo ze fotografjōm wieży ôd szachty na grubie i ze wielkōm halōm przi ni, kaj jest cało maszyneria do napyndzanio szoli, kero jeździ tam i nazod we szachcie (na dōł i na wiyrch).

Płachty te sōm zrobione ze dwōch czynści, kere sie rozstompiajom, a po ich rozciongniynciu pokożōm sie inksze płachty abo papyndekla, na kerych zaś bydzie namalowane to, co w ty hale jest driny – ta wielgo dymfmaszyna, kero wyciongo szola, rozmajte wajchy, i swiyconce lampki.

Na tym piyrszym ôbrozku, tym ze wieżōm ôd szachty i ze halōm ze maszynowniom, widać na samym wiyrchu wieży napisane wielgimi literami:

100 LOT
GRUBY FERDYNAND
KATOWICE 1823

a pod spodkym staro tabula ze wyblakłym napisym:
FERDINANDGRUBBE – KATTOWITZ

Przed tymi tabulami sōm postawione stołki, take skłodane z ôparciym, a kole nich ôdgrodzone podwyższynie i sztynder do godanio. Sōm fany polske i ôd gōrnikōw. A trocha dali gipsfigura (abo ze drzewa) Barbōrki.

Na drugi stronie biny – sōm poustowiane rozmajte gitra i pora schodōw ze gylyndrym ze żylaza, kere sōm niby poczontek konstrukcje żylaznyj ôd wieży ôd szachty.

Stojōm tam, we dwōch GAŁUSZKA i PROJEKTONT, a za chwila przichodzi DYRECHTOR ze swojim byamtrym – SEKREKTORZEM

GAŁUSZKA *(do DYRECHTORA)*:

Witom, panie dyrechtorze. Tak jak żech wczoraj godoł, wszystko jest już fertich na tyn nasz wielki fajer.

DYRECHTOR wito sie ze wszystkimi, dowo im rynka na prziwitanie.

DYRECHTOR:

Widza, widza. *(rozglondo sie wele siebie)* Podobo mi sie.

SEKREKTORZ *(pokazuje napis na wysokim budynku)*:

Jest tak, jak pan dyrechtor chcioł. Tyn napis widać aże z daleka.

DYRECHTOR:

No, fajnie, niy powiym… *(do SEKREKTORZA)* A jak tam nasze zaproszyni goście? Wszyjscy bydom?

SEKREKTORZ:

Ja, panie dyrechtorze.

DYRECHTOR *(zadowolony)*:

No, bo te sto lot naszy gruby to przeca niy jest take bele co! Myśla, co wszystko bydzie dobrze. Naprzōd bydymy świyntować a potym wszyjscy majōm iść na ôbiod i na fajer do naszy cechowni. Czy tam tyż juz wszystko jest fertich? Styknie dlo wszystkich miyjsco?

SEKREKTORZ:

Ja, panie dyrechtorze. Wszystko tyż juz jest echt i fertich.

DYRECHTOR:

No! *(podnios wysoko głowa)* Co by ta nidziela 24 czyrwca była tyż godnie zapisano w historyji naszy gruby!

PROJEKTONT *(wskazuje na hala i wieża maszyny wyciōngowy)*:

Mōm nadzieja, że te sam miyjsce to bydzie akuratne do przemowy na ta okazyjo?

DYRECHTOR:

No, ja. Niy powiem. Miołeś pan recht, co by przy ty hali to wszystko postawić. *(patrzy dugo na hala i wieża)* To piykno hala. Tako wysoko. I te piykne, wysoke ôkna… A tyn napis *(pokazuje palcym)* widać już z daleka. Tak, jak żech chcioł. Tak mo zostać.

SEKREKTORZ:

A tyn napis na dole po niymiecku, momy zakryć?

DYRECHTOR:

Niy! Niych zostanie! Niych bydzie widać ôbie nazwy. Niych kożdy wiy, że była to kedyś niymiecko gruba, ale teroz to jest już naszo gruba. Tak by chcieli ci, kerzi sie biyli ô to i ô tako ta naszo Polsko. Przeca nasze Trzecie Powstanie skończyło sie naszym zwyciynstwym, niy?

WSZYJSCY kiwajōm gowami ze zgodom.

PROJEKTONT:

Po III Powstaniu Niymcy już wyniyśli sie stond całkym. To już bydzie ze 2 lata…

SEKREKTORZ:

Nikerzi Niymcy tyż sōm zaproszyni. Ale i tak niy wszyjscy przidom.

DYRECHTOR:

Wcale sie niy dziwia…

SEKREKTORZ:

Zwolnili ôni tyż pora miyszkań, to po nich domy tam swojich bergmanōw. No i nabrali my na ich miyjsce do roboty inkszych, ale to teroz sōm yno Ślōnzoki.

DYRECHTOR:

Dobrze. *(rozkazująco)* Jak dobry chajer i fachman – przijmować! Dować im te miyszkania! I dobrze płacić!

GAŁUSZKA:

Z ludźmi niy ma staranio. Chcōm robić, a jest ich wiyncy niż mogymi ich wzionć!

SEKREKTORZ:

Zaproszyni jeszcze sōm inżynierowie i ci, kerzi budowali ta hala i maszyna do szachty.

PROJEKTONT:

No, jakby ich brakło, bołoby to niy echt!

DYRECHTOR:

Ja, te inżyniery Braxator i Luis Dame koniecznie muszōm być. A czy kto bydzie ze SKARBOFERMU? Chciołbym, co by tyż i te Francuzy widzieli ta nasza gruba. No i Poloki z ty Spōłki tyż by musieli sam być i to widzieć. Ta nasza gruba.

SEKREKTORZ:

Ja. Wszyjscy pedzieli, że przijadom. Byli tyż fest radzi, że sam bydom.

DYRECHTOR:

Szkoda yno, że prezydynt Wojciechowski już pojechoł nazod do Warszawy. *(stroskany)* Był tu tydziyń tymu… w Katowicach… I tak mało brakło, coby i do nos przijechoł i sam teroz z nami boł… Jeden tydziyń. Yno jedyn tydziyń brakło… *(do SEKREKTORZA)* A czy, jak Prezydynt sam boł, na Ślōnsku, to podobało mu sie?

SEKREKTORZ:

Ja. Ja. Prezydynt był bardzo rady. Dobrze go sam przijmowali Ślonzoki. Te pora dni, jak ôn sam boł, dobrze zrobi dlo Polski na Ślōnsku.

DYRECHTOR:

No, to wielko szkoda, że brakło czasu i niy udało sie nōm go sam, do nos przywieźć.

SEKREKTORZ:

Ale zostoł jeszcze sam, na Ślōnsku, Pan Korfanty, bo niy pojechoł z Prezydentem nazod do Warszawy, choć mioł take plany. Chce być sam, na naszym Świyncie. Dzwonioł jego sekretorz, co by pedzieć, że richtich pan Korfanty sam bydzie. Mōm przigotowane dlo niego specjalne miyjsce obok pana dyrechtora.

DYRECHTOR:

No, jestym rod, co ôn sam bydzie. No i że byda kole niego.

GAŁUSZKA:

No, to bydōm wszyjscy, kerzi być sam powinni!

DYRECHTOR:

Pan, Panie Gałuszka bydzie ôprowodzał gości po hali z tōm dymfmaszinōm i pokozowoł to, co sie sam robi. Jest pan przigotowany?

GAŁUSZKA:

Ja, panie dyrektorze. Jak najbardzi jestym rod tego polecynio.

SEKREKTORZ:

Trzeba bydzie godać i po polsku i po niymiecku.

GAŁUSZKA:

Znōm oba jynzyki. Jest żech stōnd. Tukej zawsze trzeba było być na dwa jynzyki.

DYRECHTOR:

No i jeszcze trzeba umiec po ślōnsku! *Umicie tyż godać po ślōnsku*?

GAŁUSZKA:

Umia, umia. W doma zawsze yno godomy. A w kościele zaś yno po niymiecku…

DYRECHTOR *(do SEKREKTORZA)*:

No, richtich! Bołbych zapomnioł! A co ze ksiyndzami? Mioł być przeca Administrator Apostolski ksiondz Hlond. Bydzie?

SEKREKTORZ:

Ja. Przyjedzie. Ale bydzie mioł jeszcze ze sobōm pora ludzi. Mo być ktoś bezmajś nawet z Opolo! Zaproszyni tyż sōm dwa nasze bergmany, kerzi byli w III Powstaniu.

DYRECHTOR:

Bardzo dobrze. A teraz tyż sam robiōm na grubie?

SEKREKTORZ:

Ja, ja. Dali u nos robiom.

DYRECHTOR:

No, to bardzo dobrze! Niech przijdōm ze swojimi familjami. *(do SEKREKTORZA – ze śmychym)* Ale niych pan mo na nich oko, co by nōm sam niy robili tu jakiś rewolucyji…

I śmieje sie do wszystkich – głośno.
Reszta tyż śmieje sie razem z nim.

GAŁUSZKA:

Rewolucyji to niy zrobiom. Ale działajōm we Zwiōnzku Pracownikōw. Chcōm bronić ludzi ôd zwolniynio, jak do takich by miało kedyś przijść.

DYRECHTOR:

Oby niy! Wiym, że jest źle, jak trzeba kogo zwolnić z roboty.

GAŁUSZKA:

Zawsze, jak sōm zwolniynia, to przichodzi biyda. Do cały familje. A dycki potym ciynżko udo sie nazot prziśc do roboy. Przeca pan dyrechtor to wiy…

DYRECHTOR:

Wiym, ale na mie tyż patrzom! Niy jo sam yno rzondza. I durch patrzōm mi na rynce. Jo mōm yno prowadzić gruba na zysku… A to wszysto niy jest takie proste…

SEKREKTORZ:

Ja! Kożdo decyzja może okozac sie, że ludzie bydōm niyzadowolyni. A jakby tak jeszcze zaczynli strajkować…

DYRECHTOR:

Dobrze. *(machnoł rynkami)* Niy ma co godać już ô tych sprawach. *(do SEKREKTORZA)* A tych ludzi z III Powstania posadźcie tyż bliży Korfantego.

GAŁUSZKA:

Dobrze, że Korfanty zostoł zaproszony, bo to yno dziynki niymu momy sam terozki Polska. Sam, kaj my chcieli.

DREKTOR:

Panie Gałuszka. Wiym, że niy można było o Panu Korfantym zapomnieć. A na pewno mo ôn zaproszynio do tela miejsc, do tela miast rozmajtych, na tela zebraniōw, że brakło by mu i czasu, i zdrowio na te wszystkie zaproszynia. Bestōż jest żech rod, co jutro ôn sam bydzie. Mogymy sie potym asić, że ôn sam z nami boł.

SEKREKTORZ:

Ja, richtich…

DYRECHTOR:

Dobrze. No, to już jest prawie wszystko ustalone na jutrzejszy fajer.

PROJEKTONT:

To idymy terozki do hale. Obejrzymy, jak tam, w maszynowni wszystko przigotowane.

Zmiynio sie dekoracjo na binie.

Teroz widac to, co jest driny we hale kaj robi dymfmaszyna, wielge koło z linami, rozmajte wichajstry doobkoła i kolorowe lampki.

Słychać jak syczy para, walynie tłoka ôd maszyny w cylindrze maszyny parowej. Jest wielke larmo.

Wszyjscy po kolei wchodzōm do środka hale.

Stojōm i patrzōm na wielgo maszynerio.

Naroz słychać fest głośno buczynie syryny. Trzi razy.

I ôd razu robi sie dużo ciszy. Terozki yno słychac myńsze larmo.

GAŁUSZKA:

Koniec szychty. Zaroz sam przidōm mechaniki zrobić przeglond i szmarować.

SEKREKTORZ:

No, cicho to sam niy jest!

GAŁUSZKA:

Tako robota.

DYRECHTOR *(głośno)*:

Ale jutro bydzie sam cicho?

GAŁUSZKA:

Ja, panie dyrechtorze. Jutro niy ma wydobycio. Maszyna bydzie stoła.

DYRECHTOR:

Bo jak bydzie chodziła, to niy wpuszcza tu żodnego! Bo sam moge roz- dwa przijść do jakigoś wypadku i bydzie koniec fajeru.

SEKREKTORZ:

A ci, kerzy sam robiom, niy bojōm sie tak blisko być tych ruszajoncych sie czynści? Jedyn ruch, a już by mogło kogoś wciongnonć w ta maszyna! Sam sie wszystko tak fest ruszo!

GAŁUSZKA:

Ludzie sōm przyzwyczajyni. Sōm nauczyni, jak sie majōm sam trzimać.

PROJEKTONT *(rozglondo się dookoła)*:

Tako konstrykcyjo! Sam sōm przeca bardzo duże drgania! Ile to musi wytrzimać!

DYRECHTOR:

I tako wysoko hala, take wielke ôkna. No, coś piyknego, coś piyknego…

SEKREKTORZ:

Jaaaaa… *(mo gowa do gōry i patrzy na gipsdeka ôd hale)*

PROJEKTONT:

Muszymy naprowda i richtich ô to dbać. Terozki momy gruba ôd Niymcōw i trza im pokozać, że my tyż umiymy to utrzimać i uszanować.

DYRECHTOR:

Ja, muszymy.

PROJEKTONT:

Już zrobioł żech wstympne szkice potrzebnych przeglondōw. Za pora tydni bydzie wszystko już zrobione.

SEKREKTORZ:

Znoloz żech w archiwum jakeś stare plany, ale niy wiym ôd czego. Przyniesa je panu, może sie przidajōm na co. Ale sōm po niemiecku. Docie sie rady?

PROJEKTONT:

Ja. Niych pan prziniesie, ôbejrza co to jest.

Zaś ôdzywo sie syryna. Zaś trzi razy.

GAŁUSZKA:

Zaroz zacznie sie zaś szychta. Drugo zmiana. Dejcie pozōr, bydzie zaś wiyncy larma.

Larmo we hali robi się coroz wiynksze.

DYRECHTOR *(godo fest głośno)*:

No, to pōdźmy juz stond. Larmo larmym, ale co by sie nōm nic niy stało, jak to wszystko ruszy.

GAŁUSZKA *(woło głośno)*:

Wychodzymy!

Wychodzōm po kolei, a na binie zaś nazod wrocajōm te piyrwsze dekoracyje. Robi się cicho.

SEKREKTORZ:

No, niy zazdroszcza tym ludziom. I larmo i niybezpiecznie…

GAŁUSZKA:

Wszyndzie na grubie jest niebezpiecznie. Tu tyż. Ale co dopiero na dole.

DYRECHTOR:

Jeszcze nikere plansze sōm po niymiecku. Trzeba je zmiynic na polske.

GAŁUSZKA:

Ale tu wszyjscy umiōm czytać i po polsku i po niymiecku.

DYRECHTOR:

Ale skoro kopalnia już polsko, niych tyż ône bydōm po polsku. Niych to sam na grubie zrobiom.

SEKREKTORZ:

Dobrze, panie dyrechtorze. Ale to tyż bydzie kosztować. A jak już godomy ô pijondzach…

DYRECHTOR:

No, ja. Pan godo zy mnōm yno ô pijondzach! *(z przekonsym)* Dziwia sie, że dopiero terozki!

SEKREKTORZ *(zmiyszany)*:

Przipomna panu, że…

DYRECHTOR:

Pan dycki yno przipominosz… I yno pijondze wyciongosz na wszystko…

SEKREKTORZ *(usprawiedliwo sie)*:

Przeca to niy dlo mie te pijondze. Niy dlo mie. A za wszystko trzeba zapłacić! Żodyn niy chce robic na borg.

DYRECHTOR:

Wiym i rozumia. Ale ô tych sprawach pogodomy we biurze.

SEKREKTORZ:

Ja, panie dyrechtorze. *(ôdsuwo się do zadku)*

DYRECHTOR *(do sekretorza)*:

No, to idź pan do biura. Jo zaroz tam przida. Cosik trza z tymi pijyndzmi zrobic. Jeszcze mōm jedno sprawa do pana projektonta.

SEKREKTORZ:

Już ida, panie dyrechtorze! *(zadowolony)* Już ida, już ida… *(szybko idzie na bok)*

DYRECHTOR DO GAŁUSZKI:

Panie Gałuszka *(żegno sie z nim, podajonc mu rynka)* Doglondnijcie jeszcze sam wszystko. Niych jeszcze ludzie ôgarnōm to, co niedbałe. *(wskazuje rynkōm otoczynie) No, to do jutra! Jutro nasze Wielge Świynto*!

GAŁUSZKA:

Do widzynia, panie dyrechtorze. Jutro bydzie wszystko wyrychtowane tak, jak trzeba! *(idzie ze biny)*

DYRECHTOR z PROJEKTONTEM jeszcze stojōm na placu.

DYRECHTOR *(do niego)*:

Chciołbych jeszcze panu coś pokozać…

PROJEKTONT:

Ja? A co takigo!

DYRECHTOR:

Boł Pan kiedyś na tyj wieży ôd szachty? Tam, tak wysoko, na wiyrchu? *(i pokazuje rynkōm na wiyrch wieży)*

PROJEKTONT:

Roz żech trocha wloz, ale niy tak wysoko i zaroz żech zloz, bo mie strach ôblecioł, bez ta wysokość… Bołech sie, powiym panu, panie dyrechtorze… Kolybie sie ta konstrukcyjo, że aże strach…

DYRECHTOR:

Niy jest tak źle! Godōm panu… Ale jak już sie człowiek niy zlynknie i wlejzie tam, furt na wiyrch – to dopiyro tam co nos czeko! Jak stamtond piyknie widać! A dzisiej jest piykno pogoda, to bydzie widać richtich daleko. Niych pan idzie zy mnom, zoboczy pan i niy pożałuje.

Idōm poleku w strona, kaj zaczyno sie konstrukcjo wieży szybowyj
i kaj sōm te żelazne gitra i gylynder.

I jak już doszli do tego miyjsca, naroz coś jak niy huknie i rypnie z cały siyły.
Zrobioło sie take fest larmo, jakby cosik walyło po gitrach ôd szachty.
A potym ôdezwoł sie GŁOS.

(GŁOS godo jakby ze studnie, tak jakby spod ziymie)

GŁOS:

Dyrechtorze, chwolicie sie, chwolicie, że gruba mo sto lot… Wszyjstkich żeście zaprosilyli na tyn wielki fajer, ale ô SKARBNIKU zapomniyliście!!!! Tak sie niy robi!

DYRECHTOR i PROJEKTONT przelynkniynci ôroz stanyli zlynkniyni.
Chyciyli sie gylyndra.

PROJEKTONT:

Jezurynek! A kto to?

DYRECHTOR CHYCIOŁ POD PACHA PROJEKTONTA:

SKARBNIKU, Ty żeś to je?

SKARBNIK *(głos)*:

Ja, jo żech to je. Skarbnik ze tyj gruby.

DYRECHTOR:

Ale to richtich ty? Richtich? Niy cyganisz? A bo niy robi nos sam kto za gupich? Jak Ci momy uwierzić, że żeś to ty?

PROJEKTONT schowoł sie za DYRECHTORYM,
cały zalynkniony.

SKARBNIK:

A kto sam dbo ô tych wszystkich hajerōw na dole? A kto dbo o cało gruba? *(słychac głymboke dychniyncie)* Wiyrzycie we SKARBNIKA… czy niy wiyrzycie…? Jo żech ci jest tyn Skarbnik. Jo. A kto wierzy wy mie, tymu nic sie dycki niy stanie… A teroz… jak gruba mo sto lot – to mo być wielgi fajer, a ô Skarbniku, żodyn niy godo ani jednego słowa. Niyfajnie, niyfajnie robicie. Jo sam durch jest. I za Polski tyż sam byda! Dlo mie niyważne kto skond jest. Do mie ważny jest bergmon. To jo sam durch ô wos dbom, a wy żeście ô mie zapomnieli…

DYRECHTOR:

Ale jako to? Przeca Skarbnik niy wyńdzie z dołu, niy ôpuści wynglo i bermonōw, to jak byś chcioł być sam, na wiyrchu, razym ze nami?

SKARBNIK:

Niy moga wynść na wiyrch, to mocie recht, musza sam być na dole i pilnować tyj gruby. Ale bołbych sie uradowoł, jakbyście ô mnie wspomnieli i chocioż mi kołocza i gorzołki spusciyli sam, na dōł. Bołbych fest rod. A niy wiycie, co jo moga sie roz na sto lot przemiynić i pokozać sie ludziom, ale tak, żeby mie żodyn niy poznoł?

DYRECHTOR:

Jest to myjglich, tak sie przemiynic, co by cie niy poznali? To teroz byłoby okazjo, jak yno mogesz to zrobić roz na na sto lot.

PROJEKTONT:

No, to jak jo uwierza, że żeś jest, to nic mi sie niy stanie? Nic mi niy zrobisz?

SKARBNIK:

Tak to je. Jo żech jest dobry Skarbnik. *(do dyrechtora)* To jak to bydzie dyrechtorze, zaprosisz mnie na tyn fajer?

DYRECHTOR:

No, ja! To jo cie zaproszōm i byda i jo rod, i wszyjscy bydymy radzi, że bydziesz razym ze nami. Ale jak cie poznom, kedy sam przidziesz?

SKARBNIK:

Poznocie mie, dyrechtorze, poznocie. Ale yno ty jedyn. Yno ciebie dōm znać, jak przida, że to jestym jo.

DYRECHTOR:

No, to byda na ciebie czekoł. Jeszcze roz zaproszōm cie. Przidź, byda czekoł.

SKARBNIK:

Ale terozki mogecie mie yno słyszeć.

DYRECHTOR:

Godajom, że jak się komu pokożesz, abo jak do kogo ôdezwiesz, to jego życzynie mu spełniosz. To je prowda?

PROJEKTONT:

To richtich prowda, że Skarbnik spełnio życzynia?

SKARBNIK:

To je prowda. Ale to niy moge być nic ô pijondzach i ô robocie.

DYRECHTOR:

To mogymy yno życzyć siebie i inkszym zdrowio.

SKARBNIK:

Ech, ale to by było yno take ważne, ale i bele jake życzynie… Ale powiem wom, że z ty ôkazji, że gruba mo sto lot, moga zrobić cosik richtich fajnego.

PROJEKTONT:

A czy umisz pedzieć co bydzie dali z naszōm grubom? Co bydzie dali za sto lot?

SKARBNIK:

Umia. A ciekawi wos, co to sam bydzie za sto lot?

PROJEKTONT:

No, na pewno za 100 lot to nos już sam niy bydzie, ale co bydzie dali z tōm grubom?

DYRECHTOR *(strapiony)*:

A na co mi wiedzieć coś, czego nie dożyja?

PROJEKTONT:

Przeca to jest ciekawe, wiedzieć co bydzie za sto lot! *(idzie bardzi na kroj szachty)* Skarbniku! Skarbniku! Jes żeś tam jeszcze?

SKARBNIK:

Jest żech. To mōm wōm pedzieć jake bydzie nastympne sto lot czy niy?

PROJEKTONT:

Ja, jak umisz i wiysz, to godej nom…

SKARBNIK:

Ale żodnymu niy godejcie to, co sam wōm terozki powiym. A zresztom, żodyn wōm i tak niy uwierzy… Ale niy zawsze to bydzie dobro historyjo.

DYRECHTOR *(do Projektonta)*:

Może lepi niy?

PROJEKTONT *(do Skarbnika)*:

Powiydz nom. Czy bydzie lepi, czy bydzie gorzi? Jak nasze dziecka, jak nasze wnuki bydōm sie dowały sam rady, na ty grubie? Teraz momy 1923 rok… Była

już i wojna, były te nasze Powstania… Byli sam Niymcy, a teroz jest Polsko… Niy było leko, niy! Było richtich ciynżko…

SKARBNIK:

Zawsze było ciynżko? Niy wierza. A czymu nigdy sie niy pamiynto, co było dobre?

PROJEKTONT:

Co mōm pedziec… *(już nic niy godo)*

DYRECHTOR:

To może lepi już niy wiedzieć…

SKARBNIK:

Powiym wom. A lepi bydzie, jak wōm pokoża. Ale trzymejcie sie czegoś, bo to bydzie taki richtich drapki wiater historiji, kero zdarzy się tu. Tu, na ty grubie. Bydzie to i ô grubie i ô wos wszyjstkich.

DYRECHTOR i PROJEKTONT chyciyli sie i gylyndra i gitrōw, zalynkniyni i wystraszyni.

Na binie słychać jak szumi wiater. Roz głośni, roz coroz ciszyj…

Pokozała sie bioło plansza (ekran), na kerym pokazywane sōm zdjyncia…

(z dostympnych do ty pory zdjynć jak gruba była roz „Ferdynand, roz „Katowice" – ôd 1923 roku do terozkigo czasu).

Pokazuje sie na tym biołym ekronie jak sie durch wszystko zmiynio, co chwila jest pokozany inny ôbrozek:

- *Zmiyniano nazwa Gruby z KATOWICE – zaś nazod na FERDINAND GRUBBE*
- *II wojna – hakynkrojce niymiecke na halach i na wieżach ôd szacht*
- *Jak zmiyniano KATOWICE na STALINOGRŌD i potym zaś nazod na KATOWICE*
- *Jak sie sam buduje – już zaś za Polski – nowe domy i hale na grubie, nowe wieże i szachty*
- *Zamiynio sie jedne hale na co inkszego, inksze zaś na co inkszego… i tak tam i nazod.*
- *I inksze ważne zdarzynio ze tamtych rokōw…*

– I inksze fotografje i insze malunki z tamtych rokōw do terozka

Na koniec pokazuje sie ôbroz, kaj juz niy ma gruby, yno to, co terozki sam jest.

A za chwila zaś bioło płachta sie cofła nazod i wiater zas zaczōn byc roz głośni a roz ciszy, aże ucichło wszystko naobkoło.

DYRECHTOR:

Co? To za sto lot gruby już niy bydzie?

PROJEKTONT:

Niy bydzie? Skarbniku? Nie bydzie sam już gruby? To co sam bydzie?

SKARBNIK:

Widzieliście. Wiyncy wōm niy moga pokozać. Wy już tego sami niy doczkocie i niy zoboczycie. A terozki to jo musza już iś do swoich hajerōw. Musza ich dali ôchroniać.

DYRECHTOR:

Ale powiydz jeszcze, jak cie poznomy jutro na uroczystości?

SKARBNIK:

Już musza iś, chopy, jo już ida, ludkowie… Na mie już czas…

(GŁOS robi sie coroz cichszy)

Było jeszcze yno słychac jakby pluskniyncie wody.

Zalynkniyni oba – dyrechtor i projektont – yno patrzeli na sia…

DYRECHTOR:

Niy ôpowiadej pan ô tym żodnymu! Bo bydōm mysleli, że my sōm jakeś gupieloki!

PROJEKTONT:

A kto by to nōm w to uwierzoł?

DYRECHTOR:

Ale to yno my mieli te szczyńście poznać, co to sam dali bydzie.

PROJEKTONT:

Aż strach, panie dyrechtorze… Aż strach biere…

DYRECHTOR *(otrzonsnoł ancug z trocha marasu, jaki na nim boł i podniōs gowa do gōry)*:

Ale niy ma co! Mono nōm sie to wszystko zdało?

PROJEKTONT:

To już terozki niy bydzie tak jak dycki. Ani w robocie, ani w doma. A co z naszymi dzieckami, jak gruby niy bydzie? Kaj bydzie ich miyjsce? Kaj bydom? I zaś to bydzie niymiecke? A co Polsko sam zrobi? Jo niy wiym juz terozki, jak to bydzie…

DYRECHTOR:

Nojlepi zapomnieć ô tym. Bo richtich idzie zgupieć. Godōm panu, idymy do dom. Czeko nos jutro taki wieli dziyń. Muszymy patrzeć na to, co bydzie sam jutro. Na naszych gościōw i na nasz fajer.

PROJEKTONT:

Dyrechtorze, to na ta wieża ôd szachty juz niy idymy…

DYRECHTOR:

Niy. No, dzisioj to już niy ma co. Jeszcze kedyś tam pōdymy. *(drapko kończy godka)* A terozki… Do widzenio.

(dowo rynka Projektontowi)

PROJEKTONT:

Do widzynio. Do jutra, panie dyrechtorze…

I poszli. Poszli do dom.

FACHMAN

Krzysztof Kokot

OSOBY:

TRUDA VOLKERTH – pani w wieku po pięćdziesiątce
JOHANN VOLKERTH – mąż Trudy, trochę starszy od żony
JADZIA MOL – sąsiadka z piętra, po trzydziestce
JERZY MOL – mąż sąsiadki w podobnym wieku

SCENA 1

Typowa kuchnia śląska w latach II wojny światowej.
Przy stole Truda Volkerth w podomce siedzi przy rozłożonych kartach.
Ciszę przerywa pukanie do drzwi.

TRUDA *(zbierając i chowając karty)*:
Już ida… fto tam?
JADZIA *(głos zza drzwi)*:
Hyjdla, niy poznajecie po klupaniu?
TRUDA:
Aaa, to ty, wlyź dalij.
JADZIA:
Dziyń dobry, Frau Volkert, przziniōsłach…
TRUDA:
Komu dobry, tymu dobry… No, ale mōmy już połednie, poleci z gōrki…
JADZIA:
Przziniosłach wōm pora ajerkuchōw na skosztowanie. Dziś piōntek, bez to u nos taki lichy ôbiod, ale dzieci rade je jedzōm.
TRUDA :
Pōdź rajn, bo dre z siyni. Hmm, ale piyknie wōniajōm. Ôstawia je na potym, jak Johann przidzie. Siednij sie.
JADZIA *(siadając)*:
A co niy ma pana Johanna w dōma?

TRUDA:

Wiysz, dzioucha, ani mi sie godać niy chce. Niykedy idzie jeszcze do elektrowni, jak go potrzebujom. Nojpiyrw go wyciepli z roboty, a teroz niy mogōm sie dać bez niego rady. Turbiny chcieli chadziaje ukraść, bez to Johanna zwolniyli, ale gynerał Zawadzki sie postawiył i niy dopuściył do tego. Ponoć wadziył sie z tymi pierōnami i niy doł. Postawił na swojym. Mōndry chop, przeca my tyż potrzebujymy sztromu… nō niy?

A Johann sie biydny terozki poniywiyro. Musi sie jakoś ruszać, by cołkym niy zdziadzioł, trza nom bydzie dużo siyły na nowym. Dziś mioł iść załatwić trocha dauerwusztu. Łazi już cały tydziyń od masarza do masarza i nic. Byda musiała jo iść stanonć do raje, choć szłapy bolōm. Niby fachman, a żeby coś załatwić to tako dupa, że aż strach.

JADZIA:

Nō ja, przeca – co wōm byda godać – sami wiycie, ô wszystko ciynżko. Roz ciepnōm masło na woga, to „Ceres", a jajka to take, jak ôd przepiōrek.

TRUDA:

Jo nic na forant niy kupuja, po co? Chyba już wszyscy w siyni wiedzōm, że dostali my byfyjl* (der Befehl niem. – nakaz, rozkaz) i muszymy brać sie nach Deutschland.

To tyż nōm załatwiył Zawadzki, łotany Ślōnzok. *(z przekąsem)*

JADZIA:

Hausmajster mi coś godoł, ale jo myślała, że to ino klachy i jakoś sie to rozyndzie po kościach. Prōbowaliście coś załatwiać, pisać abo iść do magistratu?

TRUDA:

Z urzyndnikami dzisiej nic niy załatwisz. Mieli my dwōjka i niy ma godki… Ja, Hyjdla, do nich, to jakbyś do luftu godała. Lada dziyń dostanymy konkretny nakaz z miejscym zbiōrki i godzinōm. Meble z wielkij izby my już sprzedali za pora fynikōw. Dobre i to, bo jak nōm dokwaterowali tego ruskigo, to nic niy wolno było w izbie ruszać.

JADZIA:

Nō, ale tego waszego ruska, to jo już pora dobrych dni niy widziała. Miyszko jeszcze u wos?

TRUDA:

Niy, już pojechoł, ponoć do Berlina… Ino paket ôstawiył. Pedzioł, że jak go niy bydzie zurück do miesionca, to go momy ôtworzyć, bo już mu niy bydzie potrzebny. Powiym ci, że to był richtig porzōndny karlus. Morgen, als er ins Badezimmer ging (rano, kiedy szedł do łazienki), to zawsze pedzioł

„zdrastwujcie", czy jakoś tak. Mył sie, golył, fuzekle proł, krōmu niy ôstawioł… Nawet światło gasiył! Niy moga pedzieć.

JADZIA:

To niy to, co te pierōny pod Winklerami. Tam wciśli jakiś kacapōw. Wiycie co tam sie dzioło? Gorzoła, ryki, bijatyki. W eku najszczane. I ciyngym na harmoszce grali i gizdy sie darły „Czapajew gieroj"! Godōm wōm, Sodōma i Gōmora do kupy wziynte. A tyn wasz, to pewnie inteligynt, z miasta, kształcony!

TRUDA:

Fto go tam wiy, skōnd tu przziloz, ale niy moga pedzieć. Teroz ciyngym medytuja, co jest w tym pakecie.

JADZIA:

Jak niy zawarty, to mogymy obejrzeć!

TRUDA:

Ino zwionzany sznurkym, pewnie nic takego. Pora dni tymu minōł miesiōnc, to mogymy…

JADZIA:

Jo by na waszym miejscu ôtwarła. Jakby coś było niyrichtig, to wyciepnymy i już.

TRUDA:

Tōż podź zy mnom do izby.

JADZIA:

Prowodźcie, przinajmnij bydziecie mieli świynty spokōj.

Wychodzą poza scenę do drugiego pokoju, ale w tym samym momencie słychać pukanie do drzwi. Cisza. Pukanie się powtarza. Wracają.

TRUDA:

To pewnikiym po nos. Johann tak niy klupie.

JADZIA:

A może to tyn ruski?

TRUDA *(w stronę drzwi)*:

Już ida, już ôtwiyrom! *(podchodzi do drzwi, otwiera, ale z drugiej strony nikogo nie ma.)*

Dyć ni ma żodnego! Ale u ciebie drzwi uchylone.

JADZIA:

To pewnie moje bajtle. Pewnie już ôbiod im wōnio. A jo ino wyskoczyła na chwila. Tōż leca, bo i Jorguś niydugo przidzie z roboty, choć bywo, że siedzi do wieczora, to narada, to kontrola. Ach, bez końca! Paczka ôtworzymy inkszym razym. Guten Appetit Frau Truda!

TRUDA:

Dej synkōm jeść, pogodōmy potym, bo i Johann pewnikym zaroz przidzie… klipa, z pustymi rynkami.

SCENA 2

To samo pomieszczenie, co w scenie 1. Na planie Johann i krzątająca się Truda.

JOHANN:

Truda, kaj moja kastla z klamorami? Żeby jo, stary bajstlyrz, szraubyncjera musioł szukać.

TRUDA:

Przeca kozołeś dać ta krzinka hausmajstrowi, że niby już ci sie na nic niy zdo. Wiysz przeca, że mogymy ino jedyn rajzykofer wziōnść. Kaj to podziejesz?

JOHANN:

Mosz recht, babko. Wyciepujōm nos z gołymi dupami… Niy do pomyślynio! My, co tu miyszkomy sto lot. Nasza familio przeżyła tu Bismarcka, Korfantego i tego pierona Adolfa, a kopnie nom w rzić jakiś ajsber* (der Eisbär niem. – niedźwiedź polarny).

W Niymcach tyż nos pewnikym bydom „mit offenen Armen begrüßen". (witać z otwartymi rękami- niem.) *(zgryźliwie)*

TRUDA:

Nic niy zrobisz. Kōmōnizm to kōmōnizm. Niymce wojna przegrały i szlus. Wszyscy my sōm winni, po rōwno… jo i Liebehenschel (zbrodniarz wojenny urodzony w Poznaniu).

A po co ci tyn szraubencjer? Co kōmbinujesz?

JOHANN:

Nic, ino na kōniec chca sie szild z drzwi ôdkryncić… so ein kleines Andenken (taka mała pamiątka – niem). Tu go i tak wyciepnōm, jak ftoś nowy przidzie. Tyla lot my tukej miyszkali… I za Niymca i po powstaniach, byli my na swojym, tu był nasz vaterland, a teroz? Chadziaje rzondzōm.

TRUDA:

Mensch, ärgere dich nicht! (Człowieku, nie irytuj się! – niem.)

JOHANN:

Ja, to jest fajny szpil, ale życie jest pierōnowo inksze. Synek ôstoł na wojnie, niy wiadōmo nawet, czy żyje. Przepod na Ostfrōncie. Żodnyj wiadōmości ani z Wehrmachtu, ani ôd ruskich. Cisza. Śmiertelno cisza, a poszeł zdrowy, wyflegowany, wybildowany… I co z tego? Teroz, jak nōm kopnōm w rzić, to nawet niy bydzie wiedzioł, kaj nos szukać. Szajse! *(Wyciera łzy)*

TRUDA:

Kaj tyn nasz biydok teroz sie poniywiyro? Czy żyje? A jak żyje to czymu przez Feldpost sie niy ôdzywo? Aż strach pomyśleć, że już go mogymy wiyncyj niy ôbejrzeć. Może leży w jakimś ruskim lazarycie… dobrze wiysz, jak tam może być?

Taki gryfny, pszaja mu nad życie… *(łzy)*

JOHANN *(podchodzi i przytula żonę)*:

Niy trop sie, dzioucha, po darymnicy. Przeca Pon Bōg nos niy ôpuści. Lojzik sie znojdzie, wierz mi! Dyć dopiyro co wojna sie skończyła. Musi jeszcze trocha czasu minōnć, aż sie to wszystko zacznie klarować. Popołedniu pudymy sie na szpacyr, wlezymy do kościoła, porzykōmy…

TRUDA:

Trza w coś wierzyć. Fto, jak nie Nojświyntszo Paninynka ulituje sie nad Lojzikiem i nad nami. Ftoż, jak niy Jadwiga nasza ślōnsko świynto. U nij my przeca w Szopynicach ślub brali, pamiyntosz?

Po chwili.

Siednij sie, naleja kakauszali. Ôstoł jeszcze kōnsek żymły ze śniodanio, to ci poszmaruja marmōladōm. Do wieczerzy sie zeschnie, a tak coś zjysz zanim sie zećmi.

Siadają powoli do stołu. Truda przynosi filiżanki i talerzyk z podwieczorkiem.

JOHANN:

Jerōnie, widzisz – byłbych zapōmnioł – na drodze spotkoł mie briftryjger. Szeł do nos i nawet sie ucieszył, że mie spotkoł, bo niy musioł na drugi sztok wyłazić.

TRUDA:

Nō i co chcioł?

JOHANN *(wyciąga z kieszeni list)*:

Doł mi tyn brif, urzyndowy, musiołech podpisać.

TRUDA:

Co tam stoi napisane?

JOHANN:

Mōmy być za tydziyń ô 6-tyj na Stawowyj. Tam bydzie cug nach Deutschland. Jedyn kofer, jedna taśka…

TRUDA:

Matko Świynto! Co to bydzie?

JOHANN:

Radził mi, żeby jeszcze prōbować napisać pismo do Wojewody. Z tego, co godajōm, to ludzie piszōm jeszcze gibko ôdwołania. – Sprōbujcie, może sie udo – tak mi pedzioł.

TRUDA:

A kaj tam… Zanim listek dōńdzie do jakigoś urzyndnika…

JOHANN:

To my już bydymy krowiokym jechać… abo nos już wcale niy bydzie. Pōnoć ludzie prōbujōm, piszōm odwołania, piszōm, że czujōm sie Ślōnzokami z dziada, pradziada, że niy byli karani, że sōm i bydōm dobrymi obywatelami Polski Ludowyj…

Byle co piszōm…

TRUDA *(po chwili…)*:

I co? My tyż bydymy pisać? Nawet papiōru, ani tinty ni mōmy…

JOHANN:

Prōba niy szczelba. Pudymy do Molōw, przeca ich dzieci do szkoły chodzōm, a ôn jakiś beamter. Muszōm mieć jakiś filer, abo blaj i papiōr.

TRUDA:

Nō… ale wiysz… godajōm, że ôn to jakiś partyjniok na grubie. Dopiyro co z wojska przziszeł, a już na stanowisku. Pewnikym kōmōnista… Dobrze to robiymy?

JOHANN:

Sōm niy wiym, dzioucha. Do czego to doszło, mōm tym gizdōm erklerować (erklären niem.-wyjaśniać), że jo jest dobry Ślonzok, klynkać… i udowodniać, że żech niy jest kōniym?

Po chwili, z rezygnacją w głosie.

Sōm tego niy napisza. Fto nōm może pomoc, jak niy sōmsiod.

TRUDA:

Mosz recht, ni mōmy przeca nic do stracynio. Kōmōnista przeca tyż człowiek. Tōż ida zagodać!

Ściąga fartuch kuchenny, przyczesuje przed lustrem włosy i wychodzi.

SCENA 3

Identycznie, jak w scenie 1. Obok stołu przygotowane duże walizy. Pukanie do drzwi.

TRUDA:

Komm rein!

Wchodzi Jadzia Mol.

JADZIA:

Juzaś ôdzywocie sie po niymiecku!

TRUDA:

Mie już wszystko jedno, tak mi jakoś czasym wylatuje. Musza sie już rychtować, przeca jada do tych cudzych Niymiec. Czy chca, czy niy! Wszystke łachy doppelt ôbleka na siebie, wtedy trocha wiyncyj sie zmieści inkszych klamorōw do tych dziadowskich tobołōw.

JADZIA:

Tukej przyniosłach to pismo odnośnie listōw… no, jakby przyszły jakeś po waszym wyjeździe ôd Lojzika. Szrajbnijcie, o tu, wtedy briftryjger mi je wydo, a jo zaroz wōm pośla.

TRUDA:

Niy trza iść do notara, tfu, do rejynta?

JADZIA:

Jorguś godoł, że to styknie ino napiszcie zaroz, kaj wos ciepnył los.

TRUDA:

Ja, ja, danke. Pōdź rajn, ôtworzymy tyn ruski paket, zanim Johanna ni ma. Ôn by sie niy zgodziył na take sznupanie.

JADZIA:

Tōż idymy.

Wychodzą. Głosy już spoza sceny.

Jeronie, ale pusto, szkoda tych waszych mebli. Taki piykny wertikoł żeście mieli i zofa jeszcze porzondno. Gardiny ôstawiyliście?

TRUDA *(złośliwie)*:

Żeby z dworu niy wyglondało, że faszysty już poszły weg. Jak wyjadymy, to sie je weź. Tu mosz jeszcze byszteki i trocha inkszych klamorōw, ftorych szkoda wyciepnōnć. Może ci sie przidadzōm.

JADZIA:

Dziynkuja wōm, Frau Truda.

TRUDA:

Jakbyś mi niy godała przez „frau", to bych sie poczuła młodszo. Jak ni mosz nic przeciwko, to godej mi po imiyniu, przinajmnij na koniec.

JADZIA:

Jakbych śmiała…

TRUDA:

Niy fandzol, dzioucha.

JADZIA:

Dobra, Trudka, niych tak bydzie.

TRUDA:

Toż podź, Hyjdla, tukej… szajse, juzaś po nimiecku. Pōdź Jadzia!

JADZIA:

Mie to niy zawodzo, możecie abo Jadzia, abo Hyjdla, ganz egal.

TRUDA:

Tōż weznymy tyn paket do kuchnie.

Niespodziewanie do kuchni (na scenę) wchodzi Johann.

JOHANN:

Trudka, kaj żeś?

TRUDA *(głos spoza sceny)*:

Tu my sōm w izbie, gardiny ôglōndōmy. Już idymy.

JOHANN:

Jo myśloł, że niy ma żodnego w dōma. Jeszcze nos na koniec ôkradnōm.

TRUDA *(wchodząc do pokoju)*:

Niby z czego?

JOHANN:

A to mało chacharōw sie krynci?

TRUDA:

Synek, co ty godosz? Nos ôkraść… dobry wic.

JADZIA:

Aha, panie Volkerth, mōj chop zaniōs te papiory na gruba, aby go poparli w POP (peope).

JOHANN:

Aaa, godosz ô tym przidziale na nasze miyszkanie? No toć, to był dobry pomysł, ino żeby klapnył. Wos jest przeca wiyncyj, to i wiynkszy wohnung wōm sie przido. Ino przez siyń i jużeście po przeprowadzce. Szkoda, żeby tu kogoś obcego wciśli. Nigdy nic niy wiadomo!

JADZIA:

Bardzo wōm dziynkujymy, żeście ô nos pomyśleli. Dzieci bydōm miały swoja izba… i ta gryfno łaziynka. Ale na razie nic niy godōmy, aby niy zapeszyć. Tōż jo już sie puda.

JOHANN:

Aha, widzisz, spomniało mi sie… Tyn ruski, co nōm go dokwaterowali, ôstawił paket. My wyjyżdżomy, a ôn godoł, że przidzie po niego. Jakbyście go wziyni do wos?

TRUDA *(niecierpliwie)*:

Przeca pedzioł ci, że po miesioncu mosz go ôtworzyć. I tak muszymy zrobić.

JADZIA:

Jak uważocie.

Jadzia wychodzi.

JOHANN *(z przekąsem do Trudy)*:

Nō ja… może tam jest złoto i brylanty?

TRUDA:

A może handgranat?

JOHANN:

Niy wyglōndoł na takigo. Ruski, niy ruski, ale jo na ludziach sie znōm. Jednako w cudzych dziadach grzeboł niy byda. Trza mi jeszcze biydy na ôstatnie godziny, żeby mie UB na Andreasstrasse wywiōzło? Oder nach Myslowitz?

SCENA 4

Ta sama kuchnia. Przy stole dwaj mężczyźni – Volkerth i Mol.
Na stole butelka wódki i dwa kieliszki.

JERZY:

Take jest życie… szkoda godać. I jak tu sie niy napić, panie Johann? *(podnosi kieliszek)*

Za wasza szczynśliwo rajza. *(stukają się kieliszkami i piją do dna.)* Jak dojedziecie, to zaroz sie ôdezwijcie.

JOHANN:

Myślisz, że jakiś listek dōńdzie? Wyciepnōm na hasiok, abo spolōm.

JERZY:

Może tak źle niy bydzie. Byle byście ino tam jakoś robota łapli, ale wy mocie grajfka do wszystkigo.

JOHANN:

Mōm dobry fach, zawsze coś przidubia.

JERZY:

Godali, żeście elektryk. Prowda to?

JOHANN:

W elektrowni żech robił, ale niy przi zicherongach ino byłech ôpowiedzialny za wielkie turbiny, gyneratory. No, ale przziszli ruscy i pedzieli, że te niymiecke maszyny bierom do siebie, jako „trofiejne". Spisali my je na straty. Fto bydzie z niymi dyskutowoł? Nō to, jak moich maszyn niy bydzie, to po co tam jo? Zwolniyli i dup, roz dwa, nakaz do Niymiec.

Płakać mi sie chce, bo to były moje Berty, tak żech je ochrzciył. Kożdo śrōbka żech znoł, kożdy szmer, pisk, zaroz żech wiedzioł, jak zaradzić. Lotały super. A teraz pojadōm na Sybir, za zasrany Ural!

JERZY *(nalewa kolejny kieliszek i wypijają)*:

Tak pewnikym bydzie. Choć fto to wiy? Towarzysz Zawadzki…

JOHANN:

Godajōm, że niy dopuści, ale jo do końca niy wierza, że mu sie udo.

JERZY:

A kaj Frau Truda się podzioła?

JOHANN:

Pewnie sie już legła, abo rzyko. Przeca to już übermorgen! Aha, jeszcze mi sie spomniało. Tyn pierōnowy paket ôd naszego ruska. Niy chca go ruszać, bo to niy moje, ale niy chca tyż wōm jakiś ôstudy ôstawić. Coż to robić?

JERZY:

Może go jednak ôtwrymy?

JOHANN:

Godosz?

Ida po niego, myśla, że Trudy niy byda szterowoł.

Wstaje od stołu i cichutko wychodzi za scenę. Po chwili wnosi niewielką paczkę i stawia na stole.

Przziniesa noż, to przetnymy sznurek i obejrzymy coż to tyn gizd ôstawił.

JERZY *(przyglądając się paczce)*:

Ruski paket, a sznurek niymiecki. Ciekawe, wiym co godom, miołech służba przzi poczcie w wojsku. Toż przecinejcie!

JOHANN:

A może sie do rozmotlać? Padosz, że to niymiecki sznurek…

Rozplątuje mozolnie, a potem rozcina tekturę. Z paczki wyciąga butelkę koniaku.

JERZY:

Tōż ci dopiero!

JOHANN:

Ale überraschung! Gruziński koniak. Nic niy rozumia.

JERZY:

Jo tyż niy! Patrzcie wiela złotych gwiazdek! Jak u gynerała!

JOHANN:

Wiela tu tych gwiozdek! Trzi, piyńć, ho, ho… To może sie napijymy tego gynerała za nasza szczynśliwo rajza? Może to jest – pierōnie – jakiś znak?

JERZY:

A może jaki zatruty? Gift!

JOHANN:

A co mi tam, jak nos trefi, to prasnymy ôba do kupy.

Otwiera butelkę i nalewa do kieliszków. Degustują.

Ja, to jest chyba nojlepsze, co my ôd ruskich dostali.

JERZY:

Downoch czegoś takigo niy piył… a może nigdy.

JOHANN:

To jeszcze po jednym i szlus. Muszymy naszym frelōm tyż dać skosztować, bo larmo gotowe.

JERZY:

Ale tyż dostanōm ino na ôbie szłapki.

JOHANN:

A reszta zatkomy frōpem i ôstawiymy u wos.

JERZY *(żartując, z uśmiechem)*:

I bydzie możno wypić dopiyro po miesioncu, abo jak przidzie ôd wos piyrszy brif.

JOHANN:

Niych tak bydzie, ale polyj jeszcze na trzecio noga… jakby tak mioł wywietrzeć.

JERZY:

Nō to jeszcze roz za wasza „nowo drōga życia". Pōmoga wōm zniyść kofry.

JOHANN:

Niy trza, zamōwia sie bryczka, przeca ni ma tego wiela.

JERZY:

To przinajmij po schodach zniesa.

JOHANN:

Dziynki ci. *(po chwili, stukając się kieliszkami)*

Powiydz, co ty na grubie robisz, boś gibko robota dostoł i to pewnie niy za hajera? Dopiyro niydowno żeś przeca prziszeł z wojska.

JERZY:

Niy moga za wiela godać – wiycie – take czasy. W 39-tym wziyni mie po poru dniach w polskim wojsku do niywole. W lagrze Ślōnzokōw wybiyrali do Wehrmachtu, potym ruscy mie capli… i na koniec znod żech sie we wojsku polskim.

JOHANN:

To żeś swoje przeszed…

JERZY:

Niy było aż tak źle. Wziyni mie na szkoła wojskowo, potym doszed żech z 2-gom Armiom Wojska Polskiego do Berlina. Tyla.

JOHANN:

Toś zasużony, a co teroz robisz?

JERZY:

W kōńcu moga wōm pedzieć, przeca to żodyn wstyd…Tworza organizacja partyjno na grubie.

JOHANN:

Kōmōnistyczno?

JERZY:

Ja, ale na wzōr polski. Mōmy swoje plany rozwoju ojczyzny po wygranyj wojnie. Bydzie robota dlo kożdego, bezpłatne szkoły i lyczynie. Czy to niy piykne plany? Ino szkoda, że takich fachmanōw, jak wy sie pozbywōmy, to feler, wielki feler.

JOHANN:

Chopie, ale to ino plany. Sōm widzisz, co już sie dzieje… a co bydzie potym?

JERZY:

Dobrze bydzie, nareszcie bydymy niypodległym wolnym narodym w historycznych granicach.

JOHANN:

W takim razie kaj mōmy Lwōw, Zaleszczyki? Dej, naleja ostatniego. *(nalewa koniak).*

JERZY:

Posuchejcie, niy wszyndzie tak jest, jakby my chcieli, ale idzie ku lepszymu.

JOHANN:

Ku jakymu lepszymu, jak z tego niby – jak to godosz – wolnego kraju wywozi sie ludzi do ruskich lagrōw ino za to, że sōm Ślōnzokami, kradnie sie całe fabryki i huty. To tako jest ta nasza wygrano wojna?

JERZY:

To niymiecke maszyny.

JOHANN:

Ja, richtig, ale niymiecke dobre i nowoczesne maszyny niych ôstanom tukej. Tacy z nich przijociele? Naszych chopōw do Dōnbasu wywożōm, abo do niymieckego stalagu w Lamsdorf. Słyszołeś o Łambinowicach? Pewnie słyszołeś? Za co? Że miyszkali tukej na ślonskij ziymi, że byli w inkszym wojsku, że krziwo patrzeli na nowo władza? Abo rzykali Vater Unser, a niy Ojcze Nasz? – Homo homini lupus est – tak nom godoł rechtōr w szkole… a jo niy wierzył.

Dłuższa przerwa w rozmowie.

JERZY *(cicho smutnym głosem)*:

Mie tyż wywiezōm… tyż byda aussiedlerym.

JOHANN:

Co godosz?

JERZY *(wychyla kieliszek gwałtownym ruchem)*:

Niydugo przidzie papiōr, że mōm jechać na Ziymie Odzyskane, bo tam żech jest partii potrzebny. Umia organizować, realizować, znōm i ruski i nimiecki. Mōm rozwijać nasza partia w jakimś powiecie nad Odrōm.

JOHANN:

Pierōnowy awans! Zawodzosz komuś?

JERZY:

Jakbyście zgodli. Skrytykowoł żech niyftore błyndy i nadużycia. Niy darowali mi. "Wszystko idzie bardzo dobrze, a wy towarzyszu szukocie dziury tam, kaj jij ni ma."

JOHANN:

Ale to chyba niy jest prowda co godosz! Wierzyć sie niy chce! Hyjdla już wiy?

JERZY:

Jeszcze żech w dōma niy godoł, bo myśla, że może sie coś jeszcze ôdmiyni. Niy chca Jadzi nerwować. Niy wiym jak to bydzie, czy pojada sōm, czy moga wziōnć wszystkich. Może ôna niy bydzie chciała jechać. Co wtedy?

JOHANN:

Toś ty, sōmsiod, tyż biydok… tak, jak i my. Karlus, szkoda cie!

JERZY:

Ale wierza, że ta wojna niy pudzie na marne, że…

JOHANN:

Dobrze, chopie, dobrze… Optimismus ist die beste Medizine… (optymizm jest najlepszym lekarstwem) Obyś mioł racjo.

JERZY:

Dońdymy do socjalizmu, prawdziwego, lyninowskego, kaj wszyscy bydōm rōwni i bydōm mogli żyć w dobrobycie. Wiym, że to niy bydzie łatwe, ofiary muszōm być.

Wchodzi Truda w nocnej koszuli.

TRUDA:

A co wy tu tak mōndrze godocie? Chyba żeście sie natintali? Czas iść spać… Filozofy!

Co to pijecie po nocy? *(bierze butelkę do ręki)*

SCENA 5

Sypialnia Molów, szary poranek. Przy łóżku na nocnym stoliku lampka i telefon. Nagły głośny dzwonek telefonu. Jerzy Mol podnosi słuchawkę.

JERZY:

Mol… tak, panie kapitanie *(wyskakując z łóżka)*
Mieszkali, tak, prawda… dziś o 6-tej mieli sie stawić na Stawowo…
Tak, nakaz wyjazdu. Słyszałem, jak wychodzili.
Mówicie, że wam nogi z dupy powyrywajōm?
Acha…
Ziętek…
Zawadzki cofnył…

Jadzia wychyla się z pościeli.

JADZIA *(szeptem)*:

Co sie stało?

JERZY *(zasłaniając słuchawkę)*:

Awaria w elektrowni, szukajōm Johanna!
Do telefonu.
Toż gibko na Stawowo, może jeszcze niy ôdjechali.
… *kiwa głową*
A jak już pojechali, to niych ich wysadzōm w Gleiwitz, abo w Breslau, to znaczy we Wrocławiu. Chyba telefony w UB działajōm? *uszczypliwie* Nō to mocie przesrane. Spotkōmy sie w Bunzlau… (Bunzlau = Bolesławiec) Niy, nic, nic, tak mi sie pedziało.
Mocie recht, ja, ja… z tymi Niymcami to jedno wiele utropiynie.

Koniec rozmowy. Jerzy Mol odkłada słuchawkę i ciężko siada na łóżko.

*** Volkehrt; voll kehrt – całkowity zwrot

ANNA I ZEFLIK

Aleksander Lubina

Rozeszła się pogłoska, że wielcy panowie w Berlinie wymyślili plan utworzenia Dyrekcji Królewskich Kolei Żelaznych na Górnym Śląsku, ale panowie nie byli jeszcze zgodni co do miasta, w którym takowa miałaby powstać. Chodziły słuchy, że może to być Gleiwitz, Beuthen lub Kattowitz.

Dręczące wątpliwości zaburzyły błogi spokój Zeflika i ten przestał rozmyślać wyłącznie o chlebie, bułkach i ciastach. Podczas bezsennych nocy jęczał tak bardzo, że Anna błagała go, aby udał się do sławnego uzdrowiciela Warzechy w Ochojcu lub na badania do profesora Wagnera w Königshütte.

ZEFLIK:

„Kaj tam! Dożyja setki! Jo jest solidny chop jak nikt. Ôstow mie we spokoju, musza pomyśleć!"

ANNA:

„Co pijesz Zeflik z tymi twoimi biznesowymi kamratami? Chca wiedzieć. Śmiesznie wōniosz, aleś nie jest ôżarty. Jakŏ nowŏ zorta pijesz?

ZEFLIK:

„Cóż, stałem się światowym człowiekiem" – zaśmiał się – „i staję się coraz elegantszy. Wiysz, kaj tŏ jest? W winiarni 'U Tannhäusera' na Bahnhofstraße".

ANNA:

„Jŏ niy jest blank głupiŏ, a ty mie niy ôcyganisz. Łazisz do bab! To sōm te twoje biznesowe kamraty! Niy ma ci gańba? Stary faterek, ty świniŏ!"

ZEFLIK:

Śmiał się tak mocno, że łóżko się trzęsło. „Do bab? Anna, ty starŏ kamelŏ! Czy jŏ jest idiota, do bab? W czym mogōm mi pomōc baby, jak planuja coś tak wielegŏ, ŏ Jezusie, kobiyty!"

ANNA:

„Ŏ Jezusie, kobiyty! Jŏ tyż jest inŏ kobieta." Pokornie wytarła nos.

ZEFLIK:

„Ty głupia Dudo! Tyś niy jest takŏ. Mam coś na głowie, coś richtich wielegŏ. Uwierz mi!"

ANNA:

„Chca w to wierzyć, Zeflik, ale powiydz mi, cŏ tŏ jest! Musisz mi tŏ pedzieć, bŏ ta sprawa jest innŏ, wiym o tym."

ZEFLIK:

„Wiysz tŏ, czujesz tŏ? Bo to coś wielkiego! To kōmisz, że to czujesz! Może bez tŏ, że moja gowa jest takŏ gorkŏ jak bratruła? Nikōmu nie powiysz, kobietŏ? Przysiyngnij sie!

Anna:

„Co sie z tobōm dzieje, Zeflik? I czymu musisz pić winŏ u Tannhäusera? Bez ta dyrekcyjŏ, cŏ?"

Zeflik:

„Bo tam som eleganckie ludzie, kerzy coś wiedzōm, i kerzy dużŏ pijōm i dużŏ godajōm. Ôni pijōm – jŏ pija małô i słuchōm. Wiesz, czasami przegrywajōm kilka tysiyncy w za jedna noc."

ANNA:

„Jezusie, Maryjŏ, ty tyż grosz?"

ZEFLIK:

„Jŏ? Joch niy ôgupiōł, dŏ Rybniku jeszcze nie musza! Godōm ci przeca, szpicuja uszy i patrza dŏ kieliszka, bŏ ôni niy zowdy grajōm, godajōm, jak tŏ chopy. Sōm tacy, co jeżdżōm do Berlina prawie co tydziyń. Wiedzōm rōżniste rzeczy. Jeden godŏ 'tak', a drugi godŏ 'terazki', a kōżdy godŏ 'może' i 'najprawdopodobniej', a jŏ se to skłodōm i skłodōm dŏ kupy. Sōm tam sędziowie okręgowi i prawnicy z Beuthen, kerzy radzi szpacerujōm pŏ Kattowitz, kaj ich małŏ wtŏ znŏ, i sōm wielcy panowie z hut i kopalni oraz oficerowie z Gleiwitz, ale niy w uniformach. Nŏ i sōm radni z Kattowitz."

ANNA:

„I ty tak se ajnfach siedzisz z nimi, kiejś inŏ piekorz? Terozki wiym też, cymuś ŏbsztalowoōł ancug u drogiego Friebe w Kattowitz. Kiejś przōdzi kupowōł u Cwiklitzera i to za pōł ceny!"

ZEFLIK:

„O mój Jezu, jesteś inŏ Duda! Niy szporuj tam, kaj niy trza. Wiesz, Friebe szyje inŏ dŏ najlepszych ludzi. Ty mierzysz, a on godŏ. Na przykład wiem od Friebe, że radni miasta Beuthen, gupie woły, wcale nie chcōm Dyrekcji."

ANNA:

„Nie bydź taki frechowny, nie godej 'woły' na radnych miejskich! Sōm tak samŏ mōndrzy jak ty! Godosz i godosz, a jŏ niy wiym dalyj, jakie to niby wiele rzeczy słyszysz."

ZEFLIK:

„Anno, pedziōłch to już trzy razy, Dyrekcja bydzie w Kattowitz, Dyrekcja! Siedza se w swoim kōncie i udowōm, że mie morzy. Kelner mŏ mie rod, bŏ biera flaszka za sztyry marki ôsiymdziesiont…”

ANNA:

„Jezusie, Maryjŏ! Tyś ŏgupiōł, Jōzef! Za jedna flaszka? Co ty se myslisz? To sie dla ciebie źle skōńczy! Mōj ôjciec był bogatym człowiekiem, ale nigdy nie pił wina. Idź dŏ ksiyndza Badury, Zeflik, wyznej grzychy i sie nawrōć sie…”

ZEFLIK:

„Wiyrz mi abŏ niy, widziōłem ksiyndza Badury u Tannhäusera. Groł w zekziga z pastorem Voßem, wangelikiym.”

ANNA:

„Jeżech tak samŏ mōndrŏ jak przōdzi. Zawdych ta głupiŏ Duda i tela.”

JANJA:

„Sztyts powtarzōm, hahaha, Dyrekcja, haha, Dyrekcja!”

ANNA:

„Jezu, Jezu, przestōń z tōm dyrekcjōm! Co to jest, ta Dyrekcja?”

ZEFLIK:

„Anno, Annuś!” Powiedział przymilnie. „Zrozumiesz, zrozumiesz. Sprawa Dyrekcji tŏ wielkŏ sprawa.”

ANNA:

„…Módl się za biednych grzeszników, teraz i w godzinę śmierci naszej…”

Zeflik:

„Po co?” Zapytał ze złością. „Czymu rzykosz? Czy jŏ jest biedny grzysznik? Miarkuja, żeś nic niy spoko piła.”

ANNA:

„Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą…”

ZEFLIK *(potrząsnął głową z pogardą i złością, wstał z łóżka, włożył spodnie używane w piekarni, umył głowę, twarz i klatkę piersiową i już nie odpowiadał. Potem skończył się ubierać, napełnił fajkę, która była mu bliższa niż pyszne i drogie cygara palone u Tannhäusera. Krążył po pokoju, sapiąc. Podłoga dudniła pod jego bosymi stopami. Anna bardzo się go bała. Na szczęście w końcu zaczął cicho mówić, prawie szyderczo, patrząc na nią)*:

„Dyrekcja? Co znaczy Dyrekcja? To może być kilkaset osób! Kilkaset? Co jō fanzola? Majōm baby i bajtli, tŏ może być tysiōnc, tysiōnc, a może dwa tysiōnce…”

ANNA:

„Niy wszyjscy kupiōm żymły ôd Zeflika we Zōłynżu.”

ZEFLIK:

„Żymły, Jezusie, żymły! Kiejbych dbōł o żymły, mōgłbych chrapać cōłkö noc. Inö pomyśl, dwa tysiōnce ludzi, same Niemcy! Wiysz, nigdy na bosoka, eleganckö ôbleczyni, umyci, urzydniki Królewskiyj Pruskiyj Kolei Żelaznyj z żonami i bajtlami. Bydōm chcieli żyć jak porzōndne ludzie, a niy we dwunastu w jednyj izbie pospołu ze kurōma a kozami jak biydne bergmōny. Ustympōw na placu niy chcōm. Chcōm, żeby byłö wygodnie. A terozki dej pozōr, gupiö Dudö: we Kattowitz niy ma dość chałp. I jö je zbuduja. I kaj? Na grundstikach! Dzisij kupisz za grosz kōnsek, na kerym pasōm sie dwie kozy, ale za rok możesz być bogatö, jak postawisz na tym kawałku kamienica. I wiysz, Anna, jo jest tym, co zbuduja te kamienice! Kupiłech ziemia. Taniö, taniö. Pora gupich z Kattowitz śmioli sie ze mie, bo chca budować na ich ziymi. A jö buduja trzypiyntrowe dōmy, bo Niemcy bydōm chcieli miyszkać u Zeflika, bo Zeflik bydzie miōł najpiykniejsze dōmy."

ANNA:

„Wyjdziesz na głupka, stracisz wszyjstkö, Zeflik, czuja tö."

ZEFLIK:

„Nie mōm już piyndzy, wszyjstko poszłö! Mōm długi. Hipoteki sōm na naszym dōmie! Kupiłech grunta, kupiłech cegły, kupiłech drzewö, zanim podrożałö, wpłaciłech zadatek szklorzowi Trappowi."

ANNA:

„Zeflik, Zeflik!"

ZEFLIK:

„Co jest? A jak przegrōm? Dobrze, piekarnia mö sie dobrze, zaś zarobia piyniōndze, zaś spłaca długi. Nie mōm stracha, nie boja sie."

ANNA:

„Jak dziōłchy majōm sie wydać, kiej nie mosz wiyncej piyniyndzy, ô Jezusie, bydōm labiydzi!"

ZEFLIK:

„Piyniondze sie znajdōm!"

ANNA:

„Wiysz, Zeflik, jakby cô tö mōmy hipoteka we Beuthen."

Zeflik:

„Anna, nie mōmy już tyj hipoteki. Zamieniłech na gotōwka, boch bardzo jej potrzebowōł na tanie zakupy. Ô jezderkusie, budowa jest drogö!" Spojrzała gniewnie, po czym wyskoczyła z łóżka i skoczyła na niego ze szponami.

ANNA:

„Złodziej!” *(Wrzasnęła).*

Kiedy Anna zaczęła się dusić, Zeflik puścił ją, pochylił się przy jej twarzy i powiedział, patrząc surowo w jej oczy:

ZEFLIK:

„Teraz będziysz cichŏ, wiysz! Udusza kożdegŏ, wtŏ mie nazwie złodziejym. Jakbyś niy była moja ślubnŏ, już byś nie żyła! Twoje piyniōndze były moimi piyniyndzmi od samego początku. Kiedyś mie przeprosisz, godōm ci!”

* * *

ANNA:

„Zefliku, Zefliku, ty sie starzejesz. Downiyj godołeś, że dożyjesz stŏ rokōw!”

ZEFLIK:

„Jezusie, Maryjŏ! Anna, tŏ był inŏ wic! Wtŏ żyje stŏ rokōw?”

ANNA:

„Lepiyj tyla niy myśl. Kiejbyś niy budowōł, tŏ niy osiwiōłbyś tak gibkŏ.”

ZEFLIK:

„Niy poradza se wspōmnieć, jakŏ tŏ byłŏ, kiej żech jeszcze niy budowōł.”

ANA:

„Ach, piyknie byłŏ, Zefliku. Piykłeś chlyb, Żymły, chałki i kōłocz, dobrześ zarobił, kōżdego roku coś żeś ôdłożył. Kupowałeś coś nowego – gołymbie, kury, gansi…”

ZEFLIK:

„Ja, ja. Niy inakszy. Nic sie niy zmieniło i niy zmieni. Ale to mi niy stykłō.”

ANNA:

„Jezusie, co ty prawisz? Za małŏ! Mōsz teraz wiyncej? Długi mosz, i tela!”

ZEFLIK:

„Dyć niy godōm przeca o piyniōndzach!”

ANNA:

„A ô czym? Powiydz wreszcie, co ci łazi pŏ głowie!”

ZEFLIK *(Szukał słów, ale nie znalazł właściwych, tych mocnych. Wreszcie niezręcznie wydusił)*:

„Żymły sie piecze, zeżyrŏ i szlus! A domy, wiysz, domy stojōm. Wspaniale jest tyż sadzić drzewa. Najwspanialej jednak budować domy!”

ANNA:

„No to ci powiym:
Raczyj sadziłbyś te stromy, skuli mie i cōłki las, byłoby może taniej, a w doma zaś byłoby przytulnie."

ZEFLIK JANJA:

„Annuś, nie bydź na mie złŏ. Przysiyngōm, jak wszyjstkie dōmy bydōm pōłne, tŏ bydzie jak downiyj – inŏ kasować i kasować ôd lokatorōw, tych z Breslau, tych echt Niymcōw i wtedy se dychna."

ANNA:

„Zeflik, cŏ z tobōm?"

ZEFLIK:

„Nic, nic. Unmyjglich, żeby mie spanie tak brałŏ we biōły dziyń. Nic tŏ. Ida. Mōm robota, musza do Kattowitz. Do banku."

* * *

Pewnego wieczora poprosił Anuśkę do pokoju i w jej obecności na pokaźnym arkuszu białego papieru podliczył spodziewane od 1 kwietnia czynsze wszystkich lokatorów. Naturalnie znał te liczby od dawna, ale chciał żonie sprawić przyjemność, jaką niewątpliwie jest oglądanie na własne oczy, jak rosną te liczby. Jego pióro wędrowało w dół i w górę przy sumowaniu oczekiwanych kwot.

ZEFLIK *(cichutkŏ dodowōł)*:

„Dodać 5 dowŏ 90, i 5 tŏ je 95, i 5 tŏ 100… spōmnisz se ta eleganckŏ Frau, cŏ była u nōs? Ta pozycja tŏ jeji miyszkanie, trochach ôbniżył płat. Niy prosiła ô tŏ, so mech zdecydowōł. Za dziōłszki miyszkała w Hucie Baildona i jeździła dŏ szkoły dla dziewcząt dŏ Kattowitz. Przedstōw se, zaroz żech jōm poznōł, a ôna… Nŏ ja, ôna mie nigdy nie widziała – jo był inŏ takim synkiem w nauce u piykorza. Rodzice nie żyjōm, mąż nie żyje, córka nie żyje, a ziynć jest lumpym. Mŏ inŏ wnuka. Nŏ i jest z Gōrnego Ślōnska. Toch jej tyn płat…"

ANNA:

„Z tōm tŏ byś się rod ôżynił, Sefflik?"

JANJA:

Podskoczył i pobladły gapił się na nią:
„Niy grzysz!"

ANNA:

„O Jezusie, zaś! Szpas musi być. Przeca mogłaby miyszkać w czerwonych domach, tam czynsze sōm niższe."

JANJA:

„Tam wszyjstkie mieszkania były już zajynte."

ANNA:

„Zeflik, dej pozōr, ôna ci za tŏ niy podziynkuje."

JANJA:

„Możesz mieć recht. Ôna niy wiy, że płaci mynyj."

ANNA:

„Usłyszy od innych i bydzie smrōd."

JANJA:

„Wymyśla coś mōndrego. Dodać 5 daje 228 i jeszcze 5…"

ANNA:

„Oj, Zefliku, na co tyś sie porwōł!" *(Zaszlochała przestraszona, ale z uniżonym szacunkiem, bo pierwszy raz miała dokładniejszy wgląd w wielkie dzieło męża. Pogłaskała go po policzku i nazwała dawno nieużywanymi pieszczotliwymi słówkami)*:

„Zeffliku, stary, dobry buksliku, mój ty karlusie!"

ZEFLIK:

„Tyś jest dobrŏ dziōłcha. Dobrŏ dziōłcha. Nasz synek Max poszukô żony. Dŏ Kattowitz przyjedzie teraz moc gryfnych niemieckich dziewczyn. Takŏ se wyźmie. No, dobrze, niy chce dŏ szkoły budowlanej. Ale syna nasz Max pośle do gimnazjum, to jasne jak dwa razy dwa. Piyniōndze to hasie, to maras, uwierz mi. Żona mu powie:

'Po co te pieniądze w banku. Przecież to głupota! Zrób coś z tymi pieniędzmi! Zbuduj domy jak twój ojciec.' Tak właśnie rzeknie żona Maxa. Miastŏ się rozrośnie, Annuś. Czasami śni mi się Kattowitz, chodzę i chodzę i nie umiem trafić. To jest jak w Berlinie. Nagle zatrzymuja sie i stoja przed moimi kamienicami w Kattowitz."

ANNA:

„Zeflik, ty gupieloku, nie wyzywej sztyjts na piyniōndze! Z marasu nie buduje sie chałp."

ZEFLIK:

„Mosz prawie, ale z samych piyniyndzy tyż niczegô niy zbudujesz. Wiysz, nie potrafia sie wysłowić, bo nie chodziłech do szkoły. Czasym tak myśla:

'Poradza to powiedzieć, ale brakuje mi właściwego słowa.' Max tyż nie bydzie poradził. On i tak małŏ godŏ. Ale jego dzieci, wiesz, jego dzieci się wysłowią. Może nie będą się już nazywać Janja?

ANNA:

„Co ty godosz?"

JANJA:

„Może przyjmiemy niemieckie nazwiskŏ?"

ANNA:

„Oj, Zeflik, Zeflik, cŏ ci chodzi pŏ głowie. Inŏ niy tŏ. Tŏ byłŏ nazwiskŏ Ôjca i Dziadka. Tŏ byłby grzech, wierz mi!"

ZEFLIK:

„Tŏ niy grzech, tŏ wiym na pewnŏ. Nie rōb tak, jakby wtoś umarł. Nie starej sie, bydzie dobrze. Nie byda już tak gōnił. Moglibymy w niedziela pojechać na szpacyr. Dyrektor Banku godōł mi ô bryczkach przez kōni."

ANNA:

„Tyn tŏ jest wariat."

ZEFLIKA:

„Pojadymy kiyś dŏ Breslau. Chciŏłbych ôboczyć ôgrōd z dzikimi zwierzyntami. Dŏ uzdrowiska Bad Gotschalkowitz – tam dożywŏ sie stŏ lōt.

ANNA:

„Wiesz ty cŏ, wpiyrw na pōnty dŏ Piekor, albŏ na Annaberg, albŏ nawet dŏ 'Czenstochau' i podziynkować Panu Bogu, że nie zabrōł nōm wszysjtkich 'śmieci', znaczy sie piyniyndzy." Roześmiał się.

ZEFLIK:

„Dobrze pōnty tyż. Ale nie dŏ Czenstochau. Nie poradza se przedstawić, że Matka Boskŏ była czornŏ.

* * *

Anna śledziła sen męża. Śpi, czy czuwa, a może przez sen westchnie i się zdradzi. Ostatecznie postanowiła go zapytać. Wyśmiał ją, ale nagle spoważniał, zasmucił się i wyjąkał:

ZEFLIK:

„Jesteście złymi ludźmi. Ty chyba też, Anno. Starocie sie inŏ ô tŏ, czy bydōm piyniōndze. Geld! Geld! Geld! Że niby dōmy nie bydōm moje? Dobra, dobra, pobecza bez noc! Ale musisz wiedzieć, że niy chca być złym człowiekiym. Niy chca, coby moje robotniki poszły przez wypłaty. Niy chca, coby kamraty, co mi borgli piōndze, te piōndze stracili. Bez to niy moga spać! Ale powiym ci, domy sōm warte złota, kożde mieszkanie wynajynte. Byda miōł geld, żeby zapłacić za robota i ŏddać pożyczki. Została ôstatniŏ spłata w banku we Kattowitz i tela. Bóg mi pomōgŏ, bo niy kradna."

ANNA:

„Jeżech inŏ głupiŏ Duda." – stwierdziła szczerze i zaszlochała.

* * *

ZEFLIK:

„Jŏ niy wiym nawet, jak sie moja Matka mieniła. I takiemu Bóg pōmagŏ."

ANNA:

„Chcesz wiedzieć, jak się nazywała, ty pierdōłŏ?"

ZEFLIK:

„A ty tŏ wiysz?"

ANNA:

„Niy, ale sprawdź w naszym akcie małżeństwa, tam tŏ może być. Czyś ty ôgupiōł? Chcesz teraz szukać?"

JANJA:

„Ja, musza tŏ wiedzieć jeszcze dziś. To byda jōm lepiyj pamiyntoł."

ANNA:

„Nie myśl! Śpij!" Wstał i długo szukał w sekretarzyku. Między aktami urodzenie i świadectwami chrztu nie znalazł tego dokumentu. Dopiero w testamencie Ojca odczytał wstrząśnięty:

„…i jego małżonki, urodzonej Feld." Z pożółkłym dokumentem w drżących rękach wrócił do łóżka ponownie zasypiającej Anny.

ZEFLIK:

„Ty, mieniła sie Feld, Dorothea Feld!?

ANNA:

„No i co z tego? Teraz bydziesz lepiyj spōł?"

ZEFLIK:

„Annuś, nie rozumisz? Feld! Feld! Pomyśl! Cōłkiem niemieckie mianŏ!"

ANNA:

„Nŏ tŏ sie ciesz." „Czy nudelzupa smakuje ci, tak jak jŏ jōm warza, ja albo nie?"

ZEFLIK:

„Anna. Co ty mnie straszysz? Czy ci sie przyśniła nudelzupa, bo jutrŏ niydziela? Toć, że mi smakuje!"

ANNA:

„To chciałach wiedzieć. A teroz dej pozōr! Wiesz, jak warza ta nudelzupa? Ze tłustyj briji, ze nudli, ciupki muskatu, troszka pejterzilki i niy za słonŏ. Jak tegŏ wszyjstkiego tam nie ma, tŏ nudelzupa ci nie smakuje. A terozki, Zefliku… Tyś tyż jest takŏ nudelzupa. Pan Bóg cie uwarzył:

We środku jest twōj ôjciec, kery sie miynił Janja, twoja Matka, kerŏ sie miyniła Feld i jest w tobie fatel twojego ôjca i mutter twojego ôjca. I tak se myśla, że tŏ nie jest w porzōndku, Zeflik, kiedy godosz:
Ino Matka, bŏ miała niemieckie mianŏ. Inŏ Matce zawdziynczōsz, żeś jest dobrym człowiekiym? Niy, niy, zawdziynczosz tŏ wszyjstkim twoim i wszyjstkim im musisz być wdziynczny, ty gupieloku, a nie inŏ Matce. Niy myśl, że dobre Górnoślōnzoki to inŏ Grundmann albŏ Holtze, czy tyn fiśniynty Stockfisch, a ci drudzy sōm niedobrzy. Wyciep mie z doma, bŏ jŏ jest inŏ Duda, a moja Mutter inŏ Kafka. Tela ci chciałach pedzieć, ty przesolonŏ nudelzupŏ!"

* * *

ANNA:

„Czego ty chcesz we wieczōr we Kattowitz, cŏ? Co tam cie tak rajcuje? Twōj elegancki Pan Stockfisch w cylindrze i glazyjach, jakby tŏ była Niedziela Wielkanocna albŏ Nowy Rok? Nie daj się przez niego oczarować, człowieku! Nie we kożdyj sprawie jestżech głupiŏ. Niy pisza dobrze i nie rachuja. Ale jednŏ wiym, Zeflik! Chłopy w twoim wieku czasami głupiejōm, wiysz, i sōm głupsi ôd smarkoczy. Na Querstraße w Kattowitz otwarli 'Apollo'. Myślisz może, że ô tym niy wiym. Tam panienki siedzōm chopōm na klinie. Tam majōm inō welony lajbliki, te świnie. Lazisz dŏ 'Apollŏ' ze Stockfischem, Zeflik, stary ôśle?"

ZEFLIK:

„Zdŏ mi sie, żech inŏ jedyn rōz cyganił. Tŏ byłŏ, jakech już niy chciōł iść dŏ szkoły na bosoka. 'Pŏ cŏ ubierosz dobre strzewiki?' – zapytōł ôjciec. 'Ach, fater, mie tak żgajōm kamiynie', ôdpowiedziałech. Anuś, godōm ci, nigdy nie byłech we 'Apollo', i nigdy tam nie pōjda. We wieczōr nie trefia sie tyż ze Panym Stockfischym, bŏ ôn trocha dużŏ godŏ, a jŏ we wieczōr niy słuchōm tak rod, jak we dziyń. Szpacyruja cōłkiym sōm…"

ANNA:

„Zeflik, przecież ci wierza, ty nie poradzisz cyganić. Ô Jezu, tyś jest najlepszym chopym, mōj Zefliku, ale cŏ tam jest wieczorym? Niy uczysz sie aby piciŏ sznapsa?"

ZEFLIK:

„Nie łaża dŏ knajp. Inŏ, kiej mie kości bolōm, wiysz, dychna se i pija jednŏ albŏ dwa Tichauery, tŏ cōłkŏ prowda."

ANNA:

„Nŏ, ale Zeflik, cŏ ty tam mosz w tym Kattowitz?"

ZEFLIK:

„Tak sie smykōm pŏ ulicach, Annuś, kiej dojda kajś, kaj w przeszłym roku trawa rosła i leżōł gruz, a dziś stoi tam dōm, to se stana i sie raduja! Nojbardziej, jak w moich domach świecōm lampy. Przy domach chacharōw na Beatestraße myśla i myśla, jakby tŏ zrobić, żeby pomōc tym biednym ludziōm i żeby sami powiedzieli:

'Chcymy raus z tych smrodlawych bud. Chcymy być czystymi ludźmi!' – ja, tak wandruja i myśla. Tak mijŏ wieczōr. W takŏ pogoda, jak teroz, ida aż dŏ Wzgórza Beate. Ach, to mosz ujrzeć. Kattowitz leży w dolinie z tymi wielymi światłami. Annuś, jest doprowdy przepiyknie. Zauważyłem, że jeszcze paru Panów robi spacery na Wzgórze Beate, ci niemieccy Panowie, musisz wiedzieć, ci Breslau'erzy, ci ze Dyrekcji, cŏ tak przezywali, że muszōm dŏ 'Polakei'. Niy pokazuja sie im, wiysz, bo może byłoby im gańba, że downiyj tak godali, a terozki im sie tak bardzŏ podobŏ. Tak se stoja i oglądōm Kattowitz tam w dole. Tŏ jest tak, jakby samymu rzykać we pustym kościele."

ANNA:

„Zawsześ był trocha zwariowany, Zefliku, i nie ôszydziłach sie, chociaż nibych jest ta głupiŏ Duda, ale ty mosz libsta, tōm wiym. Twoja libsta tŏ Kattowitz!"

ZEFLIK:

„Toć. Mosz recht. Tak jest. Właśnie tak. Dokładnie tak. Dokładnie tak to jest: Kattowitz tŏ moja miłość!"

ANNA:

„Pozwolōm ci wziōnć Kattowitz na klin, całe miasto na twoje kolana, jak jeszcze poradzisz."

ZEFLIK:

„Tŏ byłŏ trzydziyści lōt tymu, Annuś, byłŏ we mnie podniecynie, jak teraz. Każdegŏ wieczora taki bezpokōj. Niy dŏ wytrzymaniŏ. Sztyjts musiōłech dŏ Beuthen. Pod dōmem masorza Dudy łaziłech stō razy tam i nazod, za kożdym razem stowōłech przed ôknem wystawowym! Ludzie myśleli sobie:

'Tyn biydny smarkocz gapi sie na polską wuszt, albŏ krakowskŏ albŏ ekstra kiełbasa Dudy, albo na krótkie grube ôpplerki.' Tak, haha, tak se myśleli, może, ale jŏ świdrzyłech na wierch, na dom i myślałch:

„Jutrŏ musza zaś tak wartko wstoć i piyc chlyb. Czy dzisioj panna Duda nawet niy zechce popatrzeć bez ôknŏ?"

ANNA:

„Cŏ ty ôsprawiosz za stare historie? Wtedych niy miała żylaków, a tu, kaj jest tegŏ tak dużŏ, tu byłach wōnskŏ kiej osa."

ZEFLIK:

„Mōj wōns tyż jeszcze niy urōsł, a włosy nie były biōłe. Annuś, bo ty pedziałaś, że Kattowitz tŏ moja libsta. Bezto żech se wspōmniōł, jako tŏ downiyj z nami byłŏ. Byłech taki zarajcowany. Zaś żech taki niespokojny jak wtedy, bo zaś mōm libsta. Kiedy jej nie widza we wieczōr, tŏ czegoś mi brakuje."

ANNA:

„Tŏ przekludzymy sie dŏ Kattowitz, kieś taki zakochany."

ZEFLIK:

„Nie mōm tam mieszkania." Odpowiedział bardzo poważnie. „Wszyjstko wynajynte. Niy chca nikogŏ wyciepnōnć, nikomu wypowiedzieć, jeśli jest porzōndnym lokatorem, ale możnŏ zaś coś zbuduja… Nie bōj sie, Annuś. Niy bydōm tŏ wielkopańskie dōmy. Tym razem chciałbych budować dlō biednych, brudnych ludzi, żeby sie wstydzili przed czystymi ścianami i dbali i sie myli. Jedli z talerzy. Dzieci posyłali dŏ szkōły…"

ANNA:

„Niy bydōm ci płacili czynszu…"

ZEFLIK:

„Tŏ ciynżkie dŏ zrobiynia! Sōm niy wiym, jakŏ tŏ zrobić. Dōmy chacharōw niy pasujōm dŏ niymieckiego miasta."

ZEFLIK:

„Nŏ, tŏ idź, idź Zefliku, idź dŏ twojej libsty i myśl!"

ZEFLIK:

„Ja, ja, musza z niōm pogōdać, z tōm mojōm libstōm. Ôna, jak wiysz, jest pofyrtanym fraucymerem. Ta libsta niy chce jeszcze nosić skórzanych strzewikōw. Rada lotŏ na bosoka i przez kapelusza. Smykŏ w chustce na głowie. Pracuje niechytnie, ale możnŏ za małŏ jej płacōm, tŏ całkiym możliwe. Mycie? Gdyby sie myła, tŏ by byłŏ ekstra. Cŏ idzie robić z takōm libstōm, z takōm narzeczōnōm? To żodnŏ libsta!

ANNA:

„Dōm ci dobrŏ rada. Takiej paniynce trzeba czasami natrzaskać pŏ dupie. Ale niy zapominać o całowaniu."

JANJA:

„Nie jesteś głupiŏ, Ty 'gupiŏ Dudŏ'!"

Na motywach powieści „Wielki Janja" Arnolda Ulitza

Izbę dzieli rozsuwana kotara. Za kotarą stoi łóżko. Z łóżka widok na spore okno. W łóżku starszy mężczyzna (Starzyk). Przez uchylone drzwi po prawej do izby zagląda starsza kobieta (Starka). Kobieta wraca do kuchni i krząta się.

STARZYK:
Pofutrowałaś?

STARKA:
Nŏ, przeca!

STARZYK:
Pies tyż dostōł?

STARKA:
Ja!

STARZYK:
Jemu coś dała?

STARKA:
Ôbejrzysz, bŏ dostaniesz tŏ samŏ! Za chwila. Poczekej.

Kobieta wchodzi do izby z basenem w ręce. Wchodzi za kotarę.

STARKA:
Uniyś sie!

Kobieta wychodzi i odrobinę rozsuwa kotarę.

STARZYK:
Ôstow tyn forhang!

STARKA:
Cima tam mosz!

STARZYK:
Niych tak ôstanie!

Kobieta wchodzi za kotarę i wychodzi z basenem w ręce.

STARZYK:

Zaciōng tyn forhang!

STARKA:

Bydziesz miōł smrōd.

Kobieta zostawia kotarę w spokoju. Głos mężczyzny zza kotary.

STARZYK:

Ôzewrzyj ôknŏ! Młyn Czakaiskich stoi?

Kobieta wchodzi i otwiera okno.

STARKA:

Stoi. We Klodce je zatyla wody. Jakiś chop tam stoi we ôknie na samym wierchu i mi kiwie. Niy, ôn robi znak krzyża. Te, ôn mie błogosławi. Niy może być.

Kobieta robi znak krzyża i przyklęka na chwilę.

STARZYK:

Tyn młynorz mo na gowie mycka?

STARKA:

Miōł mycka.

STARZYK:

To jest Pōnbōczek. Nasz dobry Pōnbōczek. Widzisz tam ludzi?

STARKA:

Ze miasta ciōngnōm ludzie. Idōm ku gōrce, do lasa, prowadzōm ich wojoki. Ludzie sie lachajōm. Idōm chopy i baby. Kramarze i chłopki. Na placyku wedle młyna stojōm w kōłku ludzie i suchajōm kadłubka na drabince. Tyn coś ryczy do nich. Wlekōm jakiegoś śniadego, kyndziyrzawego chopa. Wadzōm sie, czy go podźwignōnć, czy zostawić leżeć. Jakiegoś wyciōngajōm ze lasa. Baba go broni. Wojoki bierōm takiego, co niy chce bić tego śniadego. Z boku idōm takie, co niy chcōm nic widzieć. Jadōm auta policyjne i wojskowe.

STARZYK:

To już sōm. Gibko!

STARKA:

Jakiś młody trzymie lamyntujōnco kobiyta, tako we modrym klajdzie.

STARZYK:

To Johannes. Tyn ôd Apokapipsy. I co? I co jeszcze widzisz?

STARKA:

Na dale jakiś synek grŏ na krzipkach, a kot tańcuje.

Chwila ciszy

STARZYK:

Jest chłodna hen dolina. Tam wodny chodzi młyn. Zniknęła ma dziewczyna, co dom swój miała w nim. Być wierną ślubowała. Pierścionek od niej mam. Lecz słowo swe złamała. I pękł pierścionek sam.

STARKA:

To ci sie zebrałŏ na poezyjŏ!

STARZYK:

Gynał!

„Zrywaj kwiaty z radością, jaką daje ulotna chwila, nie sięgaj po korzenie w ziemi, latem jest tylko smutek i cisza."

STARKA:

Piykne tŏ jest. Piykne.

STARZYK:

A tŏ, cŏ ôn mi na wieczōr dōł, tŏ jest jeszcze piynkniyjsze. Słuchej: W imię Boga Miłosiernego, Miłującego. Chwała Bogu, Panu światów. Miłosiernemu i Miłującemu, Władcy Dnia Sądu. Tylko Ciebie czcimy i tylko Ciebie prosimy o pomoc. Prowadź nas drogą prostą, drogą tych, których obdarzyłeś swoimi błogosławieństwami, a nie tych, którzy zasłużyli na Twój gniew, ani tych, którzy zbłądzili.

STARKA:

Widziałach, jak rzykōł. Czynsto rzykŏ. Te, tyn młynorz zapolił zielono lampa i zaś pokazuje na nasz dom.

Kobieta wychodzi do kuchni i pyta:

STARKA:

Skōnd ôn poradzi pŏ naszymu, tyn twōj przziszywany perski synek?

STARZYK:

Ôd starzika. Starzik prziszōł do Persyji ze Andersym albo pitnōł ôd Afrika Korps? Cniłŏ mu sie tam tymu ôpie u tych cudzych, to czitōł ze wnukiem i śnim godōł po naszymu. A tukej u nos, jak przyszedł sie schronić, to my po nocach godali – szybko sie uczy godki.

STARKA:

To terozki wiym, poczamu go niy spokopili, jak go chycili na Podlasiu i zawarli w tym hareszcie we Rzeszowie. Ôn niy poradził po polskiemu – ôni niy poradzili pŏ naszymu. Na nic cōłkŏ nauka ôpy. Trza byłŏ jynzyka literackiego.

STARZYK:

Nale se z tobōm pogodōł.

STARKA:

Pogadali my se ôd herca i do serca. Dobry synek! Dobro poezyjo pisōł. Posłuchej:

Pojawia się Recytator:

„Ślepe skrzydło zamkniętego okna, na kratach którego stoją ptaki z sąsiedztwa, nic wewnątrz oprócz cienia skrzydeł,
Żelazo obejmuje cieniem i leci ku niebu – to najkrótszy lot.
W drzwiach szpicel bezduszny łowca ptaków
posłaniec ołowiu nie wie
że jesteśmy jego potomkami."

Cisza:

„Zasnęły domy na zboczach uwięzionych chorobą,
w marach nocnych i w zwidach,
Spałaś i spałaś spowita w mrok i tuląc bezkształtny cień.
Strach sponiewierał truchło psa.
Dziad pod brzemieniem ugiął kark.
W trzewiach śmierć marsza gra.
Z bólu wrzeszczą gołowąsy.
Przodkowie zanurzeni w czas łypią białkami."

Cisza:

„Powiedz, że nie chcę, żebyś chodziła ze łzami w moich oczach.
Nie kocham cię, nie chcę, żebyś był posłańcem światłości.
Moje łzy, moja samotność stają się prochami samotności.
Nie kochasz mnie, teraz to powiedz, Posłańcu światłości.
Nie ma zgody na to. Zmienię czas. Jeśli powiem, że cię kochałem.
Wymażę łzy, jeśli moje oczy są morzem.
Ustanowię kraj miłości nad jego brzegiem.
I zbuduję stolicę miłości! We wnętrzu!
Nie wstydź się, powiedz to!
Zbuduję ci mury z koralowców.
Nie wahaj się, powiedz to!
To moja szansa, by być prorokiem wśród zakochanych."

Cisza. Recytator znika.

Tyla napisōł tyn mōj Yousuff.

Następnego dnia.

Kobieta wchodzi do izby

STARKA:

Niy ma gŏ. Tŏ do ciebie!

Kobieta wchodzi za kotarę, podaje leżącemu kopertę.

STARZYK:

Cŏ tŏ?

STARKA:

Wyglōndŏ na listek we kuwerze.

STARZYK:

Wyciōng i czitej!

STARKA *(Czitōm)*:

As-Salaam alejkum, Bracie umiłowany, sabah al-cheir Starziku mōj dobry! Napisōłżech dŏ Wos na pamiōntka, co mie starzik nauczyli i przepisołżech piynknymi perskimi buchsztabami.

STARKA :

Słuchej, cŏ ôn napisōł. No, słuchej!

STARZYK:

Toż słuchōm…

Kobieta czyta:

Wesoło warczał i terkotał młyn mego ojca, śnieg tajał na dachu, kapiąc dużymi kroplami, wróble ćwierkały radośnie. Siedziałem na progu przed domem i spędzałem sen z oczu; było mi rozkosznie w ciepłych promieniach słońca.

Wtem wyszedł ojciec z domu z przekrzywioną szlafmycą na głowie. Od samego rana hałasował we młynie; teraz odezwał się do mnie w te słowa:

– Ty nicponiu, już znowu wygrzewasz się na słońcu! Wyciągasz się, i pozwalasz mi samemu zamęczać się robotą! Nie będę cię dłużej żywił! Wiosna u progu, idź zatem w świat i zdobywaj sobie sam kawałek chleba.

– Dobrze więc – powiedziałem – kiedy jestem nicponiem, pójdę w świat na poszukiwanie szczęścia. – rzekł Nicpoń ze krzipkoma we rynkach i kotym u stóp.

STARKA A TU MOSZ PŎ NASZYMU:

Szpasownie wyrcała a ratrowała młynnica mojigo ôjca, śniyg tajôł na dachu, i kidôł srogimi krapkami, dziamble ćwiyrkolyły radōśnie. Siedziôłech na szweli przed dōmym i spyndzôłech śnik ze ôczōw; bōło mi błōgo we ciepłych sztralach klary.

Z nôgła wylôz ôjciec ze chałpy ze przekrziwiōnōm, ekniyntōm szlafmycōm na gowie, ôd samygo rozwidnioka larmowôł we młynnicy; terôzki ôzwôł sie ku mie we te słōwa:

– Ty luftikusie, już juzaś wygrzywôsz sie na słōńcu! Wyciōngôsz sie, i dozwolôsz mie samymu nagnypić sie robotōm! Niy byda cie już dugszij żywiōł, kustowôł! Wiesna na prōgu, ciōng przeto we świat a dobywej sie sōm kōnsek chlyba.

– Dobra tōż tyż – pedziôłech – kej jeżech nicpotokym, pōjńda we świat na poszukowanie szczyńściô – rzekł Nicpoń ze krzipkoma we rynkach i kotym u stóp.

STARKA:

A tu mosz te jegō buchsztaby. Patrz, świycōm kiej gwiōzdy ze ôgōnami, kiej komety. Patrz na młyn, tyn zas wyloz i zaś błogosławi. Buchsztaby świycōm na d jegŏ głowōm. A tyn synek grō na krzipkach. Kot tańcuje.

Nad sceną tańczą litery.

كانت طاحونة والدي تتذمر بمرح وتهتز ، وذوبان الجليد على السطح ، وتقطر في قطارات كبيرة ، وزقزقت العصافير بسعادة. جلست على عتبة المنزل أمام المنزل وأمضيت أنام في عيني . لقد سررت بأشعة الشمس الدافئة. ثم خرج والدي من المنزل وعلى رأسه قبعة ملتوية. منذ الصباح كان يُحدث ضجة في الطاحونة. الآن كلمني بهذه الكلمات:
أيها الوغد ، تنعم بالشمس مرة أخرى! أنت تتمتع ، وتدعني أقوم بالعمل وحدي! لن أطعمك بعد الآن! الربيع على عتبة الباب ، اذل إلى جرخا بنفسك! لن أكسبك الطعام وحدك. زبخ قطعة خبز لنفسك الطعام. قلت: «حسنًا ، عندما أكون رجلًا سيًّا ، سأخرج إلى العالم بحثًا عن السعادة.»

Słychać z gwiazd:

kanat tahunat walidi tatadhamar bimarah watahtazu, wadhawaban aljalid ealaa alsath , wataqatar fi qatarat kabirat, wazaqaqat aleasafir bisaeadatin. jalasat ealaa eatabat almanzil ›amam almanzil wa›amdayat ›anam fi eyny. laqad surirt bi›ashieat alshams aldaafiati. thuma kharaj walidi min almanzil waeali rasuh qubaeat multawiatan. mundh alsabah kan yuhdth dajatan fi altaahunati. alan kalamni bihadhih alkalimati:
›ayuha alwaghad, taneam bialshams maratan ›ukhraa! ›ant tamtadu, watadaeuni ›aqum bialeamal binafsika! lan ›uteimak baed alana! alrabie ealaa eatabat albab, lidha akhruj ›iilaa alealam wahdur linafsik qiteat khubaza. qiltu: «hsnan, eindama ›akun rjlaan syyan, sa›akhruj ›iilaa alealam bhthan ean alsaeadati.»

Starka czyta dalej, Głos dobiega zza kotary.

Jakech markotny i zasromany siedziōł w waszym loszku pode krōliczokiem, toch se poskłodōł ô poezyji dō Wos, bôście godali, cŏ pezyjŏ i rzykanie sōm lepsze niże nienawiść i zawiść. Tyż tak myśla:

Poezja jest wytworem chwili, w której piszę, jest z łona cierpienia i niesprawiedliwości, tego naprawdę doświadczyliśmy.

Widzicie, naumiōłech sie pŏ polskiemu.

Trzimcie sie. Prziszli pô mie ze ambasady – starzik tam mo kamratów. Majom go echt we zocy jako krześcijanina.
Bóg z Wami i Bóg Wōm zapłoć, jak godōł mōj starzik, co do Persyji prziszōł ze generałym Andersem i ôżynił sie z mojōm perskōm ômōm. Ale tŏ żech Wōm już kieś we nocy pedziōł, jakeście mie schronili we loszku.

Kobieta zamyka okno, zaciąga kotarę, wychodzi do kuchni i zamyka za sobą drzwi.

STARZYK:
Dej mi sam ta tabaka z fynsterbretu.
STARKA:
Downŏ ji tam niy ma. Dosuszyłach pŏ lekku we bratrule. Pokroiłach. Mōsz tukej we fajfce, a tu sztrajcle.
STARZYK:
Dziynkuja.
STARKA:
Dobrze wōniŏ.

Dym nad kotarą. Dłuższa cisza.

STARZYK:
Ściong tyn krzyż.
STARKA:
Kaj gŏ przibić?
STARZYK:
Nikaj. Nikaj.
STARKA:
Zapolić zaś ta zielōno lampa?
STARZYK:
No, a co nom kozōł nosz Młynorz? Kozoł zapolić!
Przeczitōm ci, coch zapisōł z tych godek nocnych:

STARZYK *(czyta bardzo szybko)*:

„Wywózki, łapanki, denuncjacje, donosy, pałki, tonfy, kominiarki, pistolety, karabinki, linki, pasy, buty, buty żołnierzy, bose stopy uciekinierów, odmrożone palce uciekinierów, ogrodzenia, parkany, druty, drut żyletkowy, rany cięte od drutu żyletkowego, rany rąk, rany głowy, pędzeni na druty, pędzeni pałkami, psy, szczekanie, szczucie, szczucie psami, psy szczekają psy wyją, dzieci płaczą, ludzie w lesie, ludzie w bagnach, ludzie w polach, ludzie po kolanach w wodzie, ludzie po szyję w wodzie, ludzie w rowach, ludzie w rzece, ludzie w łachmanach, ludzie w kocach, ludzie tropieni w lasach, ludzie tropieni na polach, ludzie tropieni na bagnach, policjanci, Wojska Obrony Terytorialnej, Straż Graniczna, mundury, samochody, helikoptery, pistolety, automaty, budy, ciężarówki, ślady uciekinierów, ślady dzieci, ślady kobiet, ślady kobiet, ślady mężczyzn, łapani, wywożeni, żeby nie było śladu, żeby nie było ciał, ciała w lesie, ciała w polach, ciała w polach, ciała niepogrzebane, ciała zimne, ciała mężczyzn, ciała kobiet, ciała dzieci.”*

* za: Radosław Wiśniewski https://www.youtube.com/watch?v=pJQm1oHzU2M

MACHINA CZASU

Marcin Woźniak

OSOBY:

GERDA TYLA – żona wolfika
WOLFIK TYLA – grubiorz
PAULEK – handlyrz starymi klamorami
NOWICKI – sztajger ze gruby, na keryj robi wolfik

BINA PIYRWSZO

Kuchnia we familoku kajś w Hajdukach Wielkich. Klupanie do drzwi.

GERDA:

(*wyciyro rynce w zopaska, ôtwiyro, do kuchni wpado Wolfik)* A Ty co taki zmachany?

WOLFIK:

Bier żymły i dowej aszynbecher, jo sie musza gibko zakurzyć.

GERDA:

Kajś Ty, chopie, po te żymły boł? We Piekarach?

WOLFIK:

Lyj kawa, jo ci musza poôsprawiać.

GERDA:

(nalywo kawa) Godej.

WOLFIK:

Jak jo szoł tera do dom, to mie fest lonie nacisło i wloz żech do ajnfartu kaj tyn Paulek mo gyszeft ze starymi klamorami.

GERDA:

(robi wielgie ôczy) Co ty mi fanzolisz?

WOLFIK:

No dyć tyn Paulek tam handluje starymi klamorami i jak jo tam kukoł bez ôkno to żech widzioł jak coś błysło i ôn wyloz ze biołyj kisty z wielgim ôbrozym we złotyj romie. Dyć ôn musi tam mieć machina czasu!

GERDA:

(ciepie szmatom w Wolfika) Chopie! Ciebie tak dugo niy boło, bo żeś ô szynk zahaczoł i tera mi sam pociskosz pierdoły.

WOLFIK:

Gerda, doprawdy, ôn musi rajzować we czasie, ôbocz sie jakie ôn mo to wszystko nowe. Niy jest możliwe coby stuletnie klamory wyglōndały choby z fabryki.

GERDA:

Tera som takie płyny, że sie wszystko mogesz wyglancować. Przeca wiym bo mi Margota z Efu przywiezła. Pieszczonki mi sie świycom jak psu jajca.

WOLFIK:

A jo ci godom, ôn mo tako machina. Gerda, jeszcze musza ci pedzieć, że spotkołech somsiada ze dołu i dołech mu 300 złotkōw za to, że my go zaloli. Jo tam boł zoboczyć: ôn mo cołki tepich i gardiny mokre, a gipsdeka mu ôblatuje.

GERDA:

Przeca tepich i gardiny wyschnom, a malyrza niech sie weźnie, co mu to pomaluje, ôn już stary je, som niy doł by rady.

BINA DRUGO

Antryj. Wolfik ôblyko się do roboty na nocka. Pakuje do tasi jedzynie, w tle gro radio.

WOLFIK:

Gerda, jo wyłaża, ôstoń z Bogiym.

GERDA:

Co tak skoro?

WOLFIK:

Musza przed szychtom coś załatwić.

GERDA:

Trzim sie, Dziubecku, a kup tam rano żymły i mlyko.

WOLFIK:

Jaaaa, kupia, a Ty czekej z kawom.

(Gerda rzyko rōżaniec i zasypio przy włonczonym radiu).

BINA TRZECIO

Szlafcimer Gerdy i Wolfika, dzwoni telefon.

GERDA:

(zapolo lampka, ôdbiyro telefon) Słuchom?

NOWICKI:

Pani Tyla, tu godo Sztajger Nowicki ze gruby. Godzina tymu boł wybuch. Zasuło chopa – przykro mi ale to wasz Wolfgang, niystety niy żyje.

GERDA:

(osuwo się na zogowek, telefon wypado z rynki, w ôczach pokazujom się łzy). Mōj Wolfiku kochany, czymuś mnie ôstawioł!!! *(Zasypio, śni jyj sie Wolfik, co jij godo o machinie czasu).*

BINA CZWORTO

Plac we Ajnfarcie, tam kaj je gyszeft ze starymi klamorami.

GERDA:

(czasko we ôkno) Otwōrzcie gibko, mom sprawa!!!

PAULEK:

(otwiyro dzwiyrza) Co sam sie wyprawio?

GERDA:

Jo jest Gerda, dzisiej w nocy zabioło mi chopa na grubie.

PAULEK:

Współczuja, ale jak mom wom pomōc?

GERDA:

Ponoć mocie sam tako machina i mogecie sie cofnōnć we czasie?

PAULEK:

To niyprowda! Fto wom takich gupot nafuloł?

GERDA:

Mōj chop wos widzoł i mi godoł, a ôn zawsze prowda godoł. Wy mocie tako machina!

PAULEK:

Mocie ała, jo tu sprzedowom stare klamory.

GERDA:

Błagom wos, jo wom zapłaca, jo niy umia bez Wolfika żyć!

PAULEK:

Powtarzom wom, to som gupoty *(zamyko drzwi)*

GERDA:

(osuwo sie na zol, zasłanio gymba rynkami) Wolfik, chopecku mōj kochany! Nie done nom boło sie razym zestarzeć *(wstowo i wyłazi z ajnfartu)*.

BINA PIONTO

Miyszkanie Gerdy i Wolfika, klupanie do dźwiyrzy.

GERDA:

Fto tam?

PAULEK:

To jo, godali my rano u mnie pod sklepym.

GERDA:

Po co pan sam przyloz?

PAULEK:

Otwōrzcie.

GERDA:

(uchylo drzwi) Słuchom?

PAULEK:

Wpuśćcie mnie, niy bydymy godać na siyni.

GERDA:

Wlazujcie rajn.

PAULEK:

Jo wos przepraszom. Jo boł rano fest nerwowy. Wczorej ftoś się włomoł i wloz do machiny czasu. Niy wiym fto to boł ale sie boja, że jak sie rozniesie to byda sam spolony – forsztelujecie sie to?

GERDA:

No rozumia, ino niy wiym po co żeście przziszli? Jo musza chopa pochować.

PAULEK:

Dyć jo wom pomoga!

GERDA:

Pomożecie mi chopa pochować? Dziynkuja – ôd tego je farorz i kopidoł.

PAULEK:

Jo zrobia tak, że czas się cofnie, a wy niy puścicie chopa na szychta. Mojigo fatra tyż zasuło na grubie, wiym jak mamulka to przeżywali. Zgodzocie sie?

GERDA:

Niy mom siły sie wadzić. Rōbcie co chcecie *(ôdwraco sie do ôkna, oślepio jom błysk)*.

BINA SZŌSTO

Kuchnia Gerdy i Wolfika

WOLFIK:

(czyto cajtung i gwizdo do muzyki ze radia)

GERDA:

Wolfik?

WOLFIK:

(Odkłado cajtung) Co, Dziubecku?

GERDA:

Może byś zostoł zy mnom w doma? Jo mom take hercklekoty i sie boja sama zostać.

WOLFIK:

Niy strasz mnie.

GERDA:

Doprowdy słabo mi i mom ćma przed ôczami. A jak ty pōdziesz a jo umrza?

WOLFIK:

To jo biera mobilniok i ida pogodać ze Sztajgrym.

GERDA:

Idź, a jo zrobia wieczerzo i poleja tego wina, co my ôd Achima dostali.

WOLFIK:

Jo sie napija sznapsa gorzoły, bo ôd czasu jak na ôgrōdku u Zefla my wyżarli trzi litry tego swojskiygo jabcoka, to sie wina nie tykom.

BINA SIODMO

Trzi ćwierci na siōdmo rano, szlafcimer Gerdy i Wolfika.

GERDA:

(przytulo się do Wolfika) Ale my się wczoraj posiedzieli i pospominali.

WOLFIK:

Ja, Dziubecku, blank fajnie boło.

GERDA:

Wstaja i robia bon kawa.

WOLFIK:

Dziubecku, a włoncz tam radyjok.

GERDA:

Ja, Wolfik. A co sam robi te 300 złotkōw ?

WOLFIK:

Przeca my somsiada zaloli, to żech musioł wlyźć przed szychtom do tego geszyftu ze klamorami.

GERDA:

Tyś sie tam włomoł?

WOLFIK:

Ja, wzionech brecha. Cofłech się w czasie, wraziołech tyn szlauch do kibla, beztoż my nikogo niy zaloli. Weź sie te 300 złotych i kup fajny klajd abo co innygo.

GERDA:

Machina czasu godosz?

WOLFIK:

Jo zapomnioł, że ty mi nie wierzysz.

GERDA:

(Zrywo się i daje kusika Wolfikowi) Jo ci już we wszystko wierza, ino mnie nie ôstawiej.

WOLFIK:

No, tera byda musioł cie ôstawić bo musza iść po mlyko i żymły.

Komunikat we radyju o wybuchu na grubie, niy ma ofiar we ludziach.

miasto-ogrodow.eu

Zobacz

Posłuchaj

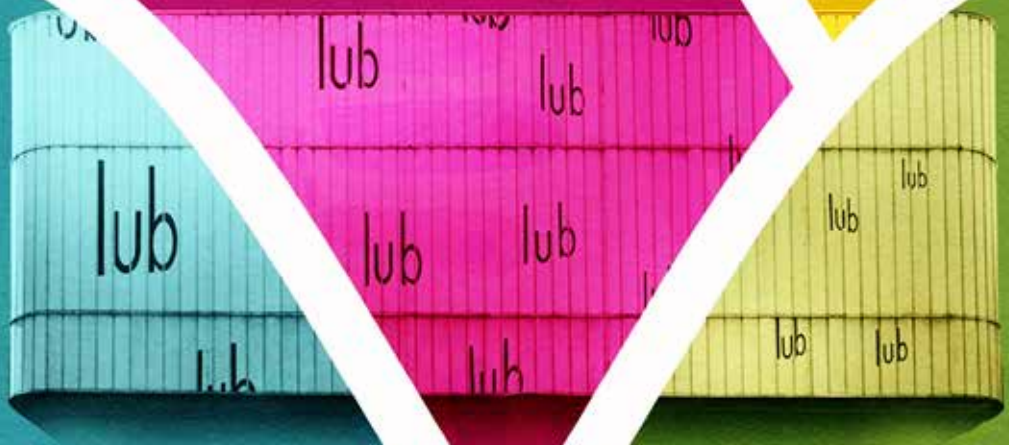

Doznaj

KATOWICE dla odmiany

KATOWICE MIASTO MUZYKI UNESCO

KATOWICE Miasto Ogrodów Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

Katowice Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek
plac Sejmu Śląskiego 2, 40-032 Katowice

WYDAWCY:

iMAGO PUBLIC RELATIONS

KATOWICE Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

PATRONAT MEDIALNY:

GAZETA wyborcza

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY • ISBN 978-83-953626-5-1